



ROK 1924.

WARSZAWA, 29 LISTOPADA

## T R E Ś Ć N U M E R U :

Ewolucja gospodarstwa kobiecego, a służba domowa—F. S. Młodzież powojenna—K. S. Klęska ludzkości—H...a. Urywek z pamiętnika—H. S. Reymont laureatem Nobla—Stefanja Podhorska-Okolów. Feljeton—Marja Grossek-Korycka. Wiersze—Zofja Rościszewska. Wojna dwudziestolatków—Phillippe Barrès. Lucja z Pokucic (nowela) c. d.—Marja Dąbrowska. Drogami duszy (powieść) c. d.—Helena Ceysingerówna. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (c. d.)—K. Bielańska. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Szkoła wychowawczyń niemowląt—Z. K. Z sali odczytowej—C. Z żałobnej karty. Z Teatrów—P—a List z Paryża—Sekwa. Jak ubrać dzieci w zimie (—). Wskazówki praktyczne—Pani Elżbieta. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” tom II, (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. TABLICA KROJÓW.

## EWOLUCJA GOSPODARSTWA KOBIECEGO, A SŁUŻBA DOMOWA

Z dotychczasowych doświadczeń wnioskować można, że czeka nas życie prostsze, bardziej racjonalne, a mniej łatwe, niż to, które prowadziliśmy dotychczas; lecz nie będzie ono pozbawione rozrywk i przyjemności w swoim rodzaju i nie zasłuży napewno na miano dekadencji.

Augusta Moll-Weiss

...Gdy jakieś zjawisko społeczne posiada cechy konieczności, zbyteczne są wszelkie bezpłodne utyskiwania i jedynym rozsądnym wyjściem jest pogodnie poszukiwanie jak najlepszego modus vivendi.

André Lichtenberger

## I.

Każda kwestja społeczna przechodzi przez dwie fazy. Z początku rodzi się w umyśle nielicznych jednostek świadomość zmienionych warun-

ków bytu, wymagających reformy w danej dziedzinie życia; zaczyna się mniej lub więcej namiętna dyskusja pro i contra, w której każdy obóz wytacza argumenty natury etycznej, technicznej i socjalnej. Jest to faza ideologiczna. Ale nadchodzi moment, scharakteryzowany tak trafnie przez Lichtenbergera w przytoczonych powyżej słowach, gdy nie czas już na teoretyczne rozważania; stajemy przed ekonomicznie uwarunkowanym faktem, z którym trzeba się pogodzić, bez względu na osobiste ustosunkowanie. Pozostaje tylko przystosować się do nowego stanu rzeczy i starać się złagodzić ujemne jego strony.

Zdarza się, że jakiś przewrót zastaje społeczeństwo zupełnie nieprzygotowanym: to miało miejsce oko-

ło pięćdziesięciu lat temu w Nowym Świecie, gdzie świat kobiecy stanął nagle oko w oko z koniecznością „samowystarczalności” w gospodarstwie domowym. Na szczęście ta część kuli ziemskiej, niekępowana tradycją, posiada niezwykle zdolność asymilacyjną i zdumiewająco szybko korzysta z najnowszych zdobyczy techniki. W dziedzinie gospodarstwa kobiecego zawdzięcza Ameryka najwięcej znakomitej twórczyni „tajlorizmu domowego”, Krystynie Frederic. Dzięki niej i innym działaczkom można kwestję służby w Ameryce i Australji uważać za niemal rozwiązaną. Służbę domową trzyma się już tylko w bardzo bogatych domach, które mogą jej dać doskonałe warunki materialne i higieniczne, od-

dzielną sypialnię, a nieraz bawialnię, częste dni wychodnie, wysokie płace.

Na zachodzie Europy, zwłaszcza we Francji, kryzys analogiczny przybrał w przeciągu ostatnich lat nadzwyczaj ostre formy. Życie przeciętne zamożnej Paryżanki, należącej do inteligencji czy do drobnomieszczactwa, jest, mimo wszelkich ułatwień, jakimi w porównaniu z naszą gospodynią rozporządza, pełne bezustannej, ciężkiej pracy i tylko dzięki imponującemu zmysłowi praktycznemu, udaje jej się utrzymać na wysokości zadania. Trzymanie stałej służby jest wobec wysokich płac i kryzysu mieszkaniowego wprost wykluczone, a t. zw. „femmes de ménage“ przychodnie biorą przeciętnie dwa franki od godziny i coraz o nie trudniej. To też ta sama Paryżanka, którą widzieliśmy na ulicy i w kawiarni elegancką, uśmiechniętą, pełną wdzięku i kokietery—stoi parę godzin dziennie przy kuchni i przy balji, prasuje, reperuje i dla całego domu, nie mówiąc już o tem, że (tym razem z własnego popędu) szyje często dla siebie i dla dzieci. Te ostatnie najbardziej są poszkodowane: rodzice, nie mogąc zostawić ich w domu, biorą je wszędzie ze sobą i doprawdy bolesny jest widok mizernych maleństw, drzemających w zaduchu kin i cukierni. Kobieta - matka staje przed dylematem: niewola, zamknięcie się w swoich czterech ścianach na przeciąg wielu lat, lub — pogwałcenie elementarnych zasad pedagogiki. Ale jest i trzecie wyjście — aprioryczne — bezdzietność; w tem słowie mieści się tragedia Francji współczesnej. Tej klęsce społecznej starają się Francuzi zaradzić całą siecią reform społecznych, dla omówienia których nie miejsce w tym artykule. Zwrócę tylko uwagę na fakt, że i w tym wypadku życie okazuje się silniejsze od najsłuszniejszych nawet uprzedzeń. Pomiędzy dwoma krańcami — dawnym wychowaniem w rodzinie, a komunistycznym wychowaniem państwowem—toruje ono drogę pośrednią: dziecińce przy fabrykach, ochronki od najmłodszych lat, żłobki dzielnicowe i t. p. ułatwiają życie matkom, zarobkującym po za domem; instytucjami temi posługują się coraz częściej i sfery burżuazyjne. Pozostaje jeszcze nierozstrzygnięta sprawa wieczoru. Ale kto wie? Może zrealizowano już w jakimś zakątku świata pomysł „sypialni domowej“, w której odpowiedzialna osoba czu-

wa nad snem dzieci z danego domu w ciągu tych wieczorów, czy nocy, gdy żadnego z rodziców niema w mieszkaniu. Bezwątpienia, byłoby to jedynie „zło konieczne“ i zapewne niejedną z czytelniczek zrazi taki „przewrotowy“ projekt.

Ale cóż mówi, napoły żartem, napoły melancholijnie, André Lichtenberger, którego nikt o rewolucyjne poglądy nie posądzi: „Ponieważ wykwalifikowana nurse będzie zbyt droga, trzeba będzie, jak na telefon, składać się na nią, by abonament wypadł taniej. Przedsiębiorcy podejmą się hodowli en gros lub en demi gros. Nie będzie to rozkoszny stan rzeczy i dotychczasowa rodzina ulegnie głębokiej przemianie. Ale nie jestem wcale przeświadczony, że wszystko musi być rozkosznem w społeczeństwie przyszłości“.

O ile trudności życia współczesnego grożą oderwaniem kobiety od ogniska domowego i od dzieci, o tyle znów wynalazki ostatniej doby, które omówiłam i omówię jeszcze w moich artykułach, pozwalają na poświęcenie dzieciom choć części tego czasu, jaki nowoczesna Europejka, w braku służby, spędzać musi przy sprzątanii pokoi i w kuchni. Francja zawczasu, nauczona doświadczeniem Ameryki, usiłuje sobie przyswoić jej metody pracy, póki nie zniknie z widowni... ostatni sługa. Nieustający łańcuch wystaw (po „Kongresie Lapine'a“ otwarto „Salon Przychodni Gospodarskich“, do którego powrócę w najbliższym czasie) i konferencji, szkoły gospodarskie o postępowym zakroju, badania laboratoryjne w tak ściśle naukowych instytucjach, jak „Urząd Badań Naukowych i Wynalazków“, na którego czele stoi uczony, prof. Breton, członek Instytutu, a obok tego wybitnego inżyniera, szereg przedstawicieli świata naukowego, literackiego, dziennikarskiego, o cenionych powszechnie nazwiskach, jak Augusta Moll-Weiss, dyrektorka „Ecole de vie domestique et sociale“, dr. med. Gommiés, profesor w „Collège libre des Sciences Sociales“, wreszcie wspomniany już parokrotnie André Lichtenberger, którego przesłaniczne książki z życia dzieci znają zapewne czytelniczki „Bluszczu“. Wielki ten przyjaciel Polski, odwiedzający nas co lat parę i śledzący z żywym zainteresowaniem myśliciela-społecznika nasze wysiłki na wszystkich polach życia państwowego, pozwolił nam

podzielić się z Szanownemi Czytelniczkami treścią zajmującego odczytu, wygłoszonego parę lat temu w „Musée Social“ pod tyt.: „La crise de la domesticité“, a który wkrótce ukazać się ma w druku w zmienionej formie (przetłómaczenie tego z istic francuskim dowcipem wygłoszonego odczytu, okazało się niemożliwe, wskutek nadmiaru literackich i historycznych dywersyj, obcych polskiej publiczności). Lichtenberger wyraził w rozmowie z nami życzenie, by polskie kobiety skorzystały ze smutnego doświadczenia Francji i starały się zrozumieć wymogi współczesnej gospodarki społecznej, zanim zmusi je do tego nieubłagana konieczność.

## II.

Myśl przewodnią Andrzeja Lichtenberger ująć można w lapidarnem polskiem przysłowiu: „Niema tego złego, co by na dobre nie wyszło“. Minęły bezpowrotnie czasy licznej służby, gotowej na każde skinienie, nie stawiającej warunków, nieodzownych dla kulturalnego człowieka, ale bynajmniej nie tak doskonałej i wiernej, jak nam ją maluje złota perspektywa przeszłości. Służba domowa w obecnem zwłaszcza pojęciu, musi prędzej czy później zaniknąć; każdy zwolennik sprawiedliwości społecznej przykłaśnie temu zjawisku, a bezstronny obserwator pojmie jego przyczyny socjalne.

„Służba domowa, mówi Lichtenberger, stała, liczna i posłuszna mogła egzystować wówczas, gdy państwem i rodziną rządziła zasada autorytetu, gdy siła robocza znajdowała się w nadmiarze, przemysł nie istniał jeszcze, brak było łączników między umysłami, jak odległemi połączeniami kuli ziemskiej, a zmysł krytyczny i porównawczy znajdował się za ledwie w zarodku. Przeciwnie, w społeczeństwie demokratycznym, w którem panują tendencje wyzwolenie i duch świecki, całkowite niemal wyrzeczenie się własnej indywidualności, które pociąga za sobą służba domowa, sprzeciwia się rażąco potrzebie niezależności i wyzycia się, cechującej coraz więcej ogół obywateli. Ktokolwiek posiada jakieś zasoby energii i inicjatywy, wybierze fach, który nie zmusi go do abdykacji z upodobań osobistych i pozwoli, poza określonymi godzinami pracy, pozostać panem samego siebie“.

W Anglii, gdzie służba domowa stawia żądania, od których naszym, wymierającym na szczęście, paniom Dulskim włosy stanęłyby na głowie, ankieta, przedsięwzięta przez Miss Stephen, wykazała jednak cały szereg pretensyj, domagających się zaspokojenia. Służba żaliła się na zbyt niskie płace, niezdrowe pomieszczenia, niedostateczne i nieapetycznie podane odżywianie, męczącą pracę, zbyt krótkie chwile odpoczynku i brak wakacji, brak warunków higienicznych (służba nie ma przeważnie wanny do swej dyspozycji), brak opieki w razie choroby, lub i nieszczęśliwego wypadku. Zmuszamy służbę do przestrzegania zwyczajów, poniżających godność ludzką: do odrębnego stroju, do zmian fryzury, a nawet... imienia, zbyt wulgarnego, lub zbyt wytwornego w mniemaniu pani domu<sup>1)</sup>.

Linja ewolucyjna zarysowuje się już wyraźnie: Tam, gdzie służba domowa nie zaniknie zupełnie, „przejdzie ona z kategorii robotników niewykwalifikowanych do kategorii fachowych pracowników—artystów, doskonale przygotowanych zawodo-wo“.

Być może, iż nie uświadamiamy sobie w zupełności, ile niebezpieczeństw moralnych mieści w sobie dotychczasowy stosunek do służby domowej. André Lichtenberger cytuje słowa cyrulika Sewilskiego, które słyszeliśmy w Warszawie kilka lat temu ze sceny Teatru Polskiego: „Zaiste, jeśli wziąć pod uwagę ilość cnót, wymaganych od służących, niewielu panów okazałoby się godnymi tej roli“. I dodaje: A ilu służących odpowiedziałoby, w razie nagłej zmiany losu, ideałowi dobrego pana? Wina, jak zawsze w kwestjach społecznych, nie jest po żadnej stronie „tkwi ona w nienormalnych stosunkach, które byłyby bez zarzutu wówczas tylko, gdyby ludzie stali się aniołami“. Ponieważ to dotąd nie nastąpiło, więc w panach rozwijają się wstrętne cechy despotyzmu i tyranji, a w służących, zależnie od jednostki, fałszywa uniżoność, lub bunt.

Dodajmy jeszcze słów parę do tych związłych, a trafnych uwag. Ciągłe stykanie się ze zbytkiem budzi z konieczności zawiść w duszy młodszej nieraz i ładniejszej od pani, służącej i staje się, jak powszechnie wiadomo, jedną z przyczyn demorali-

zacji. Obecność obcego elementu w domu, w dodatku elementu o przeważnie bardzo niskim poziomie intelektualnym i etycznym, prowadzi do najrozmaitszych konfliktów, nieraz do tragedij rodzinnych. Wreszcie nie należy lekceważyć zgubnego wpływu służby na dorastające dzieci, wpływu, którego nie można w zupełności uniknąć nawet przy najczujniejszej opiece matki czy wychowawczyni. Z tych wszystkich powodów zanikanie służby domowej, zwłaszcza stałej, wydaje się raczej zjawiskiem godnem poparcia.

Lichtenberger zwraca z kolei uwagę na ujemne społeczne konsekwencje, związane z tym fachem. Służba rekrutuje się po większej części z ludności wiejskiej, co przyczynia się do wyludniania wsi. Jeśli by zaś przyjąć nawet, że ten proces jest naturalnym zjawiskiem, towarzyszącym uprzemysłowieniu kraju, pozostaje drugi ujemny objaw: służba rzadko i późno wstępuje w związki małżeńskie — względ nader ważny dla, rzec można bez przesady, wymierającej zwolna Francji, a w przyszłości dla innych cywilizowanych państw. Statystyka wykazała bowiem, że jest to stała cecha rozwojowa w pewnym stadium ekonomicznym, która daje się m. in. ostatecznie zauważyć w Anglii.

Nie zależy nadto, zdaniem wybitnego publicyisty, lekceważyć dodatniego wpływu zajęć domowych na fizyczny rozwój sfer, zajętych dotąd jednostronną pracą umysłową. Mówi dowcipnie: „Według danych statystycznych ci, których z pewnym odcieniem zarozumiałości zwykliśmy zwać

<sup>1)</sup> Demokratę Lichtenbergera raziłby niewątpliwie rozpowszechniony u nas zwyczaj mówienia do służącej „wy“ lub nawet tykania jej.

<sup>2)</sup> Należałoby np. ostatecznie usunąć z mieszkań „salon“, możnaby w razie przyjęć wynajmować w swoim domu przeznaczony na ten cel lokal; byłoby też pożądanem, jak proponuje narówni z Lichtenbergierem p. Georger Risler, znakomity propagator budowy takich mieszkań, by gotowano wspólnie dla całego domu podstawowe dania i używano naczynia kuchenne, posługując się odpowiednimi dźwigniami dla przewożenia ich na poszczególne piętra.

„inteligencją“, okazują największą skłonność do małżeństw z kucharkami. Czyż trzeba lepszego świadectwa ich niezaradności wobec zadań życia powszedniego i potrzeby zabezpieczenia się przed grożącymi zewsząd zasadzkami?

Odtąd inteligenci nie będą się już żenić z kucharkami, „bo nie będą rozporządzać tym sprzętem domowym“ i, pozbawieni tej ostatniej, jeśli można się tak wyrazić, deski ratunku, opuszczą z konieczności swą wieżę z kości słoniowej, zetkną się z materialną stroną bytu, wyćwiczą swe muskuły. W ten sposób nie zrealizuje się przeraźliwa wizja Wells'a — potwornych, żelatynowatych mózgow, osadzonych na szczątkowym korpusie. Ktoś oburzał się na myśl, że Keuan'owie przyszłości będą zmuszeni odrywać się od swoich wzniosłych rozmyślań dla wykonania prozaicznych zajęć domowych. Kto wie, czy właśnie dzięki takiemu trybowi życia nie zachowają dłużej giętkości i młodości i czy nie będą z większą pogodą ducha tworzyć swych arcydzieł.“

Dotychczas zachodził nienaturalny podział pracy między służącą, a niekiedy panią, zajętą wyłącznie ogłupiającymi, absorbującymi funkcjami gospodarskimi, a głową domu i najczęściej dorastającymi dziećmi, oddanymi nadmiernej pracy umysłowej. Jakże daleko byliśmy, jesteście jeszcze, od ideałów Ruskina, Tołstoja i tylu innych wielkich myślicieli, którzy marzyli o harmonijnej, wszechstronnie rozwiniętej ludzkości! Teraz — w miarę ułatwiania i uproszczania zatrudnień domowych, oraz obywania się bez służby — cała rodzina, bliższa i dalsza, będzie musiała przykładać do nich rękę; pociągnie to za sobą zbawienne skutki higieniczne i społeczne, pod warunkiem większej prostoty w zbyt jeszcze skomplikowanym życiu domowym<sup>2)</sup>.

Nie należy się obawiać, iż wraz ze zmechanizowaniem gospodarstwa, rozluźnią się więzy rodzinne. Wprost przeciwnie, Lichtenberger podkreśla, że usunięcie obcego elementu i czynny udział wszystkich, przyczyni się do spotęgowania intymności życia domowego i zapobiegnie niejednemu dramatowi, u podłoża którego spoczywała bezczynność, brak wspólnych zainteresowań i wzajemnego zrozumienia.

## MŁODZIEŻ POWOJENNA

Pisząc niedawno o zadaniach wychowawców szkolnych, uwydatniałam przede wszystkim techniczne przeszkody tej pracy, potrącając tylko lekko o trudności natury pedagogiczno-moralnej.

Wychowanie wogóle jest pracą trudną. Wychowanie dzisiejszej młodzieży w dzisiejszych warunkach, jest rzeczą jeszcze trudniejszą. Na tę stronę zagadnienia należy zwrócić szczególną uwagę.

Młodzież powojenna! dużo słów lapidarnych, dużo skarg słusznych, czy niesłusznych pada teraz pod tym właśnie adresem.

Trzeba obiektywnie i rozważnie zastanowić się nad tą sprawą, uświadomić sobie, bez uprzedzeń, ale też bez zbytniego optymizmu, istotny stan rzeczy i wyciągnąć z tego pożyteczne wnioski, konieczne konsekwencje. Nie mam zamiaru pisać studjum psychologicznego. Chodzi o niektóre rysy charakterystyczne, które pozwolą zorientować się w sytuacji i wytknąć niektóre wskazówki.

Młodzież powojenna, jako materiał ludzki, wykazuje wiele cech obniżonej wartości. Nie pomoże tu ani irytacja, ani narzekanie. Składa się na to cały szereg przyczyn głębokich, aż nadto zrozumiałych. Wszystkie okropności wojny, wszystkie zgubne skutki głodu, chorób i rozprężenia moralnego, musiały fatalnie odbić się na młodym pokoleniu.

Skąpy i jednostajny pokarm, fałszowane środki żywności, ciasnota mieszkań, brak mydła i ciepłej odzieży, grasujące zarazy i t. p. — oto okropne warunki higieniczne, w których wyrastała młodzież powojenna. Stąd ogólne osłabienie, zwiększona skłonność do chorób zakaźnych jak szkarlatyna, ospa, dyfterja — większe rozpowszechnienie anemii, gruźlicy — a przede wszystkim późne rachitis, spotykane u wielkiej ilości dzieci szkolnych,

Nie trzeba chyba dodawać, że te defekty w rozwoju fizycznym pociągają za sobą analogiczne braki rozwoju duchowego. Obniżony poziom umysłowy, brak energii i sprawności intelektualnej, osłabienie wrażliwości moralnej — oto zjawiska, niestety prawie że powszechne. Jeżeli uwzględnimy ponadto niezdrową atmosferę moralną, wytworzoną przez okrucieństwa wojny, paskarstwa, a w niemałym stopniu przez upadek życia rodzinnego — stanie nam się zupełnie jasnym, dlaczego młodzież obecna jest taką, jaką jest.

I jeszcze jedno. Jest rzeczą bardzo ciekawą, że obniżenie poziomu umysłowego i moralnego o wiele więcej daje się odczuwać w szkole średniej, niż w powszechnej. Łatwo to wytłómaczyć, jeżeli się zważy, że szkoła średnia uległa po wojnie sil-

nej demokratyzacji, w tym sensie, że przybrała bardzo wielki procent młodzieży ze sfer, kulturalnie nisko stojących. Jest to zjawisko znamienne i bez względu na to, jak się na nie będziemy zapatrywali, czy będziemy się tem cieszyć, czy smucić, nie wolno tego lokceważyć, gdy chodzi o ocenę stanu szkolnictwa średniego. Trzeba się liczyć z tem, co jest, z tą większością uczniów, która nadaje ton i wpływa na urobienie atmosfery szkolnej: światopoglądu, dążeń, ideałów.

Jaki jest światopogląd, jakie są ideały obecnej młodzieży? Z przykrością trzeba stwierdzić, że stosunek jej do życia jest — łagodnie mówiąc — ujemny. Brak szacunku dla ludzi, dla czynów, dla dążeń, a stąd brak entuzjazmu i zapału.

Najsilniejszy oddźwięk znajduje dziś wśród młodzieży słowo: sport. Mówię wyraźnie słowo „sport“ bo mam wrażenie, że tu, jak gdzieindziej dominującą rolę gra przede wszystkim zmysł naśladownictwa, wszechpotężna moda. Nie chciałabym być fałszywie zrozumiana. Mam wielkie uznanie dla sportu i należycie doceniam wartości, jakieby mógł dać sport, racjonalnie uprawiany. Ale sport powinien zostać środkiem — do osiągnięcia zdrowia, energii, sprawności — a także i miłą rozrywką — nie zaś celem samym w sobie: sport nie może stać się ideałem życiowym. (Nie inaczej rozumieją go sami Anglicy, twórcy i najwięksi jego zwolennicy). Bardzo często spotyka się teraz u nas młodzieńców, którzy twierdzą, że jedyną rzeczą, mającą jeszcze jakąś wartość, jest sport. Objaw smutny i narodowo stanowczo niezdrowy.

Jakto? Więc najwyższym szczytem marzeń i entuzjazmu młodzieńczego miałyby być piłka nożna i tenis? I to w wieku zapału i porywów, który decyduje o przyszłej drodze życiowej?! „Bo kto w młodości nie uniósł się z ziemi“ — mówi słusznie Gliński „pęł mu już nie rwać, ani dojść do szczytu“. Tylko młodość zdolna jest nadać życiu naszemu ten

rozmach, który, jak koło rozpędowe, podtrzymuje przez całe życie ruch energii i zapału.

Młodzieży naszej brak niestety wyższych ideałów. Ten smutny fakt trzeba skonstatować. Hasła wolności i niepodległości Ojczyzny, które były tak ważnym czynnikiem w wychowaniu młodzieży przedwojennej, przestały być aktualne. Żadne inne, nowe któreby równie wzniosłe i równie silnie oddziaływały na młodzież, nie zajęły jeszcze ich miejsca. Bo nie ludźmy się; na takie dźwięki, jak: silne i bogate państwo, jak służba obywatelska i t. p. młodzież nasza nie reaguje.

Stąd ta pewna szarość i jałowość, ten brak zapału i polotu, które tak utrudniają pracę wychowawczą! Ale będziemy sprawiedliwi: jeśli młodzież nie ma ideałów, jeśli młodzież nie umie czcić wielkich czynów i wielkich ludzi — to my, starsi, sami jesteśmy w dużej mierze temu winni. Atmosfera spekulacji giełdowych, atmosfera kłamstw i oszczerstw politycznych, deptania wielkich czynów i wielkich zasług nie sprzyja rozwojowi dzielnego i moralnie wysoko stojącego pokolenia. Trzeba raz zrozumieć, że wychowanie fizycznie i moralnie dzielnych spadkobierców odzyskanej wolności jest najwyższym przykazaniem miłości Ojczyzny i troski obywatelskiej i że koniecznym do tego warunkiem jest: uzdrowienie stosunków życia rodzinnego, towarzyskiego, społecznego i państwowego. Środowisko, atmosfera, przykład, wzór — oto czynniki, które w wychowaniu grają decydującą rolę.

Na zakończenie wreszcie dodam, że do wymienionych tu przyczyn wojennych i powojennych, które wywołać musiały zmniejszenie się sprawności u młodzieży, przyłączyły się także, dziwnym zbiegiem okoliczności, czynniki inne, pochodzące jeszcze z przed wojny.

Mam tu na myśli ów prąd pedagogiczny, propagowany już od szeregu lat, a żądający uwolnienia młodzieży od wszelkiego wysiłku. Pod hasłem „u l a t w i e n i a“, zmniejsza się wymagania, stawiane samodzielnej pracy uczniów, do minimum, — wywołując przez to stałe zmniejszanie się sprawności. Wskutek tego, jak w błędnem kole, rośnie u nich wciąż poczucie przeciążenia, ale za to maleje odporność, sprawność, samodzielność, poczucie odpowiedzialności — czyli ginie główny cel nauki i wychowania.

Jeśli uznaliśmy za stosowne zerwać ze starożytną, na nasze nowożytne gusty może zbyt idealistyczną, dewizą: per aspera ad astra — to respektujemy przynajmniej tę nawskroś realną i niezbitą prawdę, że bez pracy niema kołaczy, a [bez wysiłków niema charakterów!

K. S.



# KŁĘSKA LUDZKOŚCI

Był czas, gdy o prostytucji, domach publicznych, handlu żywym towarem, chorobach wenerycznych i całym tym „splocie rzeczy okropnych i haniebnych” mówiło się przy drzwiach szczelnie zamkniętych i w gronach specjalistów, a kobiety „uczciwe” wyrazów tych nawet nie znały. Nie było ich wtedy i na łamach „Bluszczu”. Dziś zło rozpowszechniło się tak bardzo, a konieczność walki z nim ludzkość cała odczuwa tak silnie, że zamykać oczu i ust na te rzeczy niewolno kobiecie — obywatelce, kobiecie — matce, kobiecie, wychowawczyni.

W czasach, gdy najpoważniejsze międzynarodowe zgromadzenie, Liga Narodów, wylania specjalną komisję, złożoną z delegatów i delegatek najbardziej kulturalnych społeczeństw i rządów, by nad tem złem radziła: gdy wszystkie pisma europejskie wypełnione są sprawozdaniami z jej posiedzeń, byłoby śmieszna, zaściankową pruderją i najszkodliwszym tchórzostwem cofać się przed widziadłem straszliwym, które rujnuje szczęście rodzin, najzdolniejsze i najpiękniejsze jednostki pogrąża w otchłań fizycznego i duchowego upadku, a całej rasy ludzkiej grozi ostateczną degeneracją.

Można było przed wojną jeszcze spierać się, czy należy, zawczasu „uświadczać” na tym punkcie młodzież. Dziś wiemy już niestety, że „nieuświadczone” zarówno chłopcom, jak dziewczętom, największe grożą niebezpieczeństwa. Dziś szkoła bierze na siebie „uświadczenie” młodzieży; tembardziej pismu, które jest organem dojrzałych, poważnie myślących kobiet-obywatelek przystoi jak najgruntowniejsze omawianie tej smutnej sprawy.

O wyraz „prostytucja” były spory. Różne kategorie nielegalnych i nie moralnych stosunków między mężczyzną a kobietą usiłowano podciągnąć pod tę nazwę. Niekiedy znów usuwano z pod niej budzące taką lub inną wątpliwość, wypadki.

Ostatecznie jest rzeczą ustaloną, że za prostytucję uważa się

fakt, gdy kobieta za pieniądze oddaje się każdemu mężczyźnie, płacącemu jej za oddanie się i czyni sobie z tego fach, zawód.

Nie jest prostytucją stosunek nielegalny, choćby nawet w grę wchodziły podarunki, czy pieniądze, gdy kobieta oddaje się jednemu tylko mężczyźnie.

Nie jest prostytucją, jakkolwiek jest rozpustą, gdy kobieta oddaje się wielu mężczyznom, ale nie za pieniądze.

Natomiast, za prostytucję uważać trzeba, gdy kobieta mająca inny fach, zdobywa prostytuowaniem się dodatkowe dochody.

Tych słów parę potrzebnem było celem uniknięcia nieporozumień.

Prostytucja nie jest „starą jak świat”, jak to się czasem mówić zwykło, ale niewątpliwie byt jej począł się wraz z bytem miast, z bytem wielkich skupień ludzkich, wielkich ognisk handlu, przemysłu i żeglugi.

Obecność w mieście wielkiej ilości mężczyzn oddalonych od rodzin swoich (załogi okrętów, karawan kupieckich i t. p.) stwarzała, mówiąc językiem handlu — popyt.

Za popytem szła podaż.

To też już w wieku IV-m, V m przed Chrystusem dostrzegamy zjawisko prostytucji, ugruntowanej od wieków, we wszystkich miastach śródziemnomorskich. Za najdawniejszą jej formę poczytują prostytucję świątynną. Celem przyciągnięcia żeglarzy i kupców i powiększenia tym sposobem dobrobytu miasta

organizowano dla cudzoziemców prostytucję w świątyniach, jako ofiarę bogom, którą obowiązywane były składać wszystkie mieszkanki miasta w pewnych oznaczonych terminach, czasem raz w rok, czasem raz w życiu. Było to, zresztą, w związku z kultem bóstw płodności i rozkoszy: Astarte, Melitty, Izydy, Afrodyty, Pryapa, Bachusa. Później, gdy forma ta wywoływać zaczęła zapewne niepożądane konflikty, powstają osobne kasty kapłanek, dziewcząt świątynnych, praktykujących prostytucję, jako kult religijny i ściągających do skarbców kapłańskich olbrzymie bogactwa. Obok tej formy rozwijała się jednak już wówczas prostytucja zarobkowa, pozbawiona wszelkich cech jakiegokolwiek kultu.

Zjawisko to musiało być nader powszechne i doniosłą w życiu społeczeństw ówczesnych grać musiało rolę, skoro prawodawca ateński Solon ujmuje je już w pewne organizacyjne ramy. Rozkazuje on mianowicie cudzoziemki, wzięte na wojnie niewolnice, umieszczać w państwowym zakładzie rozpusty, zwanym „Dikterion”. Obok tych „dikteriad”, prostytutek państwowych, istniały w Grecji, rozliczne odmiany płatnych miłośnic, z których najwyżej społecznie stały t. zw. „hetery”, kobiety niezależne, żyjące swobodnie, zazwyczaj o dużej kulturze umysłowej.

W Rzymie istniała również z początku prostytucja oficjalna. Ofiarami jej były branki wojenne. Później, w chwili upadku wzrastała wciąż liczba swobodnie mieszkających i swobodnie praktykujących na własny rachunek prostytutek wszelkich kategorii.

Chrześcijaństwo, mimo swego wrogiego stosunku do rozpusty cielesnej, zdołało usunąć ze sfery swoich wpływów tylko prostytucję świątynną. Inne jej odmiany istniały nadal i już pierwszy cesarz chrześcijanin musiał w stosunku do tego zła zająć stanowisko tolerancyjne.

W wiekach średnich stosunek władzy świeckiej, jak i duchownej do prostytucji ulegał najrozmaitszym zmianom i wahaniom. Oficjalnie potępiona przez kościół, gdzieś tam prześladowana przez władze państwowe, nierzadko korzystała ona jednak z opieki państwa.

(c. d. n.)

H...a



# URYWEK Z PAMIĘTNIKA

Dzięki uprzejmości p. H. Szalayowej podajemy poniżej cenne bardzo szczegóły z życia i prac wielkiej naszej uczo-nej Marji Skłodowskiej Curie.

(przyp. Red.)

Byłoby mi daleko łatwiej mówić o Marji Curie'owej, gdyby nie była moją siostrą, gdybym mogła ją oceniać jedynie z obiektywnego punktu widzenia, jako człowieka, uczonego i rodaczkę. Sądzę jednak, że stoi ona na takiej wyżynie zarówno umysłowej, jak społecznej i etycznej, że ani wielka miłość, którą odczuwam dla niej, ani entuzjazm, z jakim się do niej odnoszę, ani wreszcie głęboka cześć, jaką we mnie budzi, niemogą mi być po-czytywane, jako wynik łączących nas węzłów rodzinnych. Jesteśmy obie dziećmi jednych rodziców, wychowywałyśmy się razem, uczyłyśmy wspólnie, a jednak jak bardzo małą czuję się wobec niej.

Marja Curie'owa jest córką niezujących: Władysława Skłodowskiego, nauczyciela matematyki i fizyki w gimnazjach rządowych rosyjskich i Bronisławy z Boguskich, byłej przełożonej znanej bardzo dodatnio pensji żeńskiej w Warszawie. Rodzina nasza składała się z 5-ga dzieci: 4-ch córek i syna. Najstarsza z nas, Zofja, umarła, mając lat 15, rokując jak najpiękniejsze nadzieje na przyszłość, miała bowiem zarysowujące się bardzo wyraźnie zdolności literackie; brat jest doktorem w Warszawie, siostra Br. Dłuska — również: była ona jedną z pierwszych pionierek ruchu wyższego kształcenia się kobiet w naszym kraju — studjowała w Paryżu; ja zaś poświęciłam się nauczycielstwu. Atmosfera w domu rodziców naszych panowała podniosła; największą ich troską były dzieci.

Zajmowano się nami, dbano o naszą kulturę, zarówno umysłową, jak duchową. Rodzice, oboje ludzie wykształceni i wyrobieni społecznie, chcieli z nas zrobić dobrych obywateli kraju i pożytecznych członków społeczeństwa. Ojciec miał dużą wiedzę ogólną, znał dobrze języki obce, miał wielkie zamiłowanie do poezji i szeroki pogląd na świat. Cały czas wolny od zajęć zawodowych poświęcał dzieciom. Bawił się z nami, uczył nas i wychowywał.

Pamiętam doskonale lekcje geografii z ojcem, podczas których niejednokrotnie wszystkie meble w po-

kojach bywały poprzestawiane, miały bowiem wyobrażać rozliczne miasta lub kraje. Podróżowaliśmy od jednych do drugich, to morzem, to lądem, to wreszcie pieszo pokonywaliśmy trudności wycieczek naszych. A te nigdy niezapomniane wieczory sobotnie, poświęcone czytaniu nam przez ojca utworów wielkich naszych poetów. Nigdy już później nie budziły one w nas takiego entuzjazmu, nigdy tak silnie nie wzruszały, jak wówczas.

Matka była chora, mało przebywała w domu, więcej za granicą; odumarała nas wcześniej, dlatego też nie-

Tam właśnie chowaliśmy się w sekrecie, tam mijały nam najlepsze chwile, najweselsze układaliśmy zabawy, tam opowiadaliśmy sobie straszne, tajemnicze, cudowne bajki, tam snuliśmy marzenia o tem, czem kiedyś będziemy. A marzenia te sły bardzo daleko. Wszystko miało być szlachetne i piękne w tej naszej przeszłości, każde z nas miało dokonać rzeczy wielkich, aby wszystkim narodom pokazać, że Polacy istnieją, że czuwają ustawicznie. Mieliśmy nawet poważne plany oswobodzenia Polski z pod przemocy Moskali, bo o nich najczęściej mówiono w domu i oni najbardziej bezpośrednio dawali się nam we znaki.

Od pierwszych niemal lat życia odznaczała się najmłodsza z nas, Marja, niezwykłą bystrością umysłu i wielką pamięcią. Mając lat 4, nauczyła się sama czytać, robiąc tem prawdziwą niespodziankę rodzicom, którzy ją niezmiernie kochali i pieścili. I trudno było nie kochać tego wyjątkowo słodkiego i dobrego dziecka, wyróżniającego się uczuciowością i kryształową prawością charakteru.

Pragnienie wiedzy wzrastało w niej z żywiołową siłą, pochłaniało ją z każdym rokiem silniej. Była nietylko wybitnie zdolna, twórcza i lotna, ale i niezwykle pracowita i dokładna w robocie. A przytem serdeczna, dobra, pogodna i uczynna; nie znosiła koło siebie gniewu i niezgody. Jej duże, szare oczy, szeroko na świat otwarte, odbijały duszę tak czystą i piękną, tak pozbawioną zarozumiałości, zawiści lub fałszu, że mimowoli wywierała na otaczających wpływ do-

datni, wzbudzała szacunek i miłość, i tworzyła wokoło siebie czystą świetlaną atmosferę. W gimnazjum odgrywała taką właśnie rolę wobec koleżanek, które kochając ją bardzo, liczyły się z nią jednocześnie. Mając 15 lat, skończyła gimnazjum ze złotym medalem. W Warszawie nie mogła kształcić się wyżej, wyjechać za granicę nie miała za co, postanowiła więc zebrać sobie pieniądze na uniwersytet, pracując jako nauczycielka na wsi: jednocześnie miała się przygotowywać do studjów.

Tak też zrobiła. Przez lat kilka była nauczycielką, cały czas wolny od zawodowej pracy poświęcała nauce matematyki. Sama dopełniła wszelkie braki gimnazjalne, przeszła wszystko to, czego wymagano od studentki



MARJA SKŁODOWSKA-CURIE

wątpliwie ojciec wywarł o wiele większy od niej wpływ na umysłowość Curie'owej.

Tak mi żywo stoją w pamięci chwile naszego wczesnego dzieciństwa, dobre, wesołe i pogodne. Ojciec był przez dłuższy czas inspektorem gimnazjum II na Nowolipkach. Gimnazjum to mieściło się w obszernym gmachu, otoczonym podwórzem i ogrodem. Dzisiaj jest tam Seminarjum Nauczycielskie. Zajmowaliśmy duże mieszkanie, o pokojach obszernych i szerokich korytarzach; mieliśmy własne podwórko, a na niem jakieś drewniane zabudowania, w których mieściły się: drwalka i różne schowanka. Był tam również i stryszek, na który się wchodziło po stromych schodkach. Kochany stryszek...

przy wstąpieniu do uniwersytetu w Paryżu. Opracowała w ten sposób trygonometrię, rachunek całkowity i różniczkowy. W wypadkach wątpliwych korespondowała z ojcem, prosząc go o wskazówki.

Zdumiewała ludzi inteligencją i pamięcią. Zdarzyło się kiedyś, że na zebraniu w domu, w którym była nauczycielką, jeden z panów odczytał, napisany przez siebie, długi wiersz, krytykujący cały szereg osób, bywających w tym domu. Wiersz był dowcipny i Curie'owa pragnęła go mieć. Autor zgodził się jedynie tylko na odczytanie go po raz drugi, mówiąc żartem: „Proszę dobrze uważać i zapamiętać”. Cóż było robić—trzeba było wyteńczyć uwagę i spróbować. Po powtórnym usłyszeniu wiersza—poszła Curie do drugiego pokoju i po kwadransie przyniosła, napisany dosłownie z pamięci. Podobno autor nie był zadowolony z tego nieoczekiwanego rezultatu. Sama również pisała wiersze, a głównie tłómaczyła zagranicznych poetów. Pozwolę sobie przytoczyć fragment z wiersza napisanego na dzień ślubu przyjaciółki, która wychodziła za mąż za cudzoziemca.

Kojarzy się on dziwnie z jej późniejszymi przeżyciami.

Kiedy się zbliża chwila rozstania,  
I nic jej cofnąć nie może,  
Przyjmij te kilka słów pożegnania.  
I przyjm serdeczne: „Szczęść Boże”.

Dziś dom porzucasz, gdzie tak szczęśliwie  
Wiek Twój upłynął dziecinny —  
Rodzinę, co cię kocha tak tkliwie:  
Kraj swój porzucasz rodzinny.

Żegnaj, siostrzyczko, chociaż z obcemi  
Wola cię własna związała,  
Nie przestań kochać tej drogiej ziemi,  
Gdzieś światło dzienne ujrzała.

A mowę naszą, sponiewieraną  
We wzrastającym ucisku,  
W sercu tę mowę chowaj, kochaną,  
I przy rodzinnem ognisku.

Wszakże Ojczyzna w sercach jedynie  
Naszych ma życie i trwanie.  
Niechaj-że zawsze w obcej krainie  
Serce twe polskiem zostanie!

Po kilku latach pracy nauczycielskiej udało się jej nareszcie urzeczywistnić swój zamiar. W roku 1891 wyjechała do Paryża i wstąpiła na wydział nauk fizycznych. Ciężko jej było, biedowała. Jej środki pieniężne były więcej niż ograniczone, niezawsze mogła sobie na obiad pozwolić, niejednokrotnie zastępowała go chlebem

z owocami i nieraz głodna stawała do pracy. Mimo to zrobiła w ciągu lat 3 dwa licencjaty: fizyczno-chemiczny i matematyczny. Po skończeniu Sorbony zabrała się do pierwszej swej pracy naukowej: „O własnościach magnetycznych stali.” W tym czasie poznała się z Piotrem Curie, profesorem szkoły fizycznej miasta Paryża i wkrótce, w roku 1896, tych dwoje niezwykle ludzi połączyło się węzłem małżeńskim. Piotr Curie był człowiekiem dużej wiedzy i zupełnie niepospolitych zalet duchowych. W jednym ze swych listów pisze on, do bawiącej wówczas na wakacjach w kraju, Marii Skłodowskiej, którą pragnął nazwać swoją żoną: „Byłoby to jednak piękną rzeczą, w którą nie śmiem wierzyć, spędzić życie razem, jedno obok drugiego, zahipnotyzowani przez nasze marzenia: pani marzenia patriotyczne, nasze marzenia społeczne i nasze marzenia naukowe.”

Współżycie małżonków stało się rzeczywistością tem „marzeniem”, jak się wyraził Piotr Curie. Szczęśliwie i spokojnie, choć bardzo biednie, żyli w Paryżu, było im z sobą dobrze i rozumieli się, wspólnie prowadzili swoje małe gospodarstwo, wspólnie wychowywali swoje dwie córeczki. (c. d. n.) H. S.

wydaniem masy pieniędzy i czasu. Trzeba przejść wszystkie galerje i pałace Rzymu, Medjolanu, Florencji i Wenecji, aby z nich wyłowić tych kilkanaście czy kilkadziesiąt arcydzieł. To znaczy odbyć pieszo wielowiorstową wędrowkę. Proszę obejrzyć chociażby pobieżnie, kilkaset tysięcy rzeźb i płócien?! Choćby zwiedzanie rozłożyć na miesiące, to i tak jest to praca Herkulesowa. Ogół radzi sobie, jak może: zwiedzanie odbywa się nogami. Mózg, a nawet oczy, jak przejeżdżony żołądek, percepują, ale nie apercepują. Byleby panna Ira, pani Sława — ten literat i tamten doktor, mogli lekceważąco kiwając głowami powiedzieć: „byłam” — „widziałem.”

Ale co jest w tej sprawie najważniejsze i najgorsze to to, że te masy obrazów i rzeźb zupełnie nie warte są widzenia!

To jest scholastyka — to jest ta tyle dzisiaj znienawidzona w obrazie „literatura” — przecież to są ilustracje do biblij.

Dla świata wtenczas dopiero odsłoniętem, uprzystępnionem zostanie skondensowane dzieło Starych Mistrzów — które nie rywalizuje z nikim i niczyjej rywalizacji się nie obawia, jest bowiem skończone i jedyne.

Każda szkoła dąży do wydania z siebie takiej jednej swojej pięk-



W świadomości bowiem w skondensowaniu mieści się całe życie. Twarz w spokoju, która nie pozuje, która wiedząc, że jest samotną, jest zupełnie sobą, nosi na sobie wypis całego życia i całego swego charakteru. Każdy stan, który przeżywała, targał dotąd jakimś jedynym jej nerwem, jednym mięskiem, jak palec trącający wciąż jeden klawisz, aby wydobyć z niego ten sam dźwięk — tak że to targanie zostawiło na twarzy w tem miejscu ślad: ściągnięcie, zmarszczkę, fałdę, znak swój. — Ze znaków tych, z ich sieci, układa się to jedyne słowo, które jest hieroglifem duszy, wypisanym na twarzy.

Do takiego portretu, pozowanie jest niczem — ono daje tylko linje maski — Mistrz musi mieć tej twarzy przenikliwą wizję, która ją odgaduje taką, jaką jest, gdy jest sama z sobą.

Oto jest sekret nieśmiertelności Starych Mistrzów Włoskich. — Sztuka ich jest jedyna i skończona.

Marya Grossek-Korycka.

## FELJETON

Nastawiam kinematograf!... ciemność... i na ekranie zaczyna się wyświetlać jakiś plac w Rzymie z przed kilkunastu laty. Tramwaje łażą, jak gąsienice, jeden za drugim — szereg na lewo, szereg na prawo — z jednej i z drugiej strony placu — i na poprzek.—Dzwonienie—zgiełk!—„Czarna dama” kręci się na wszystkie strony (to jestem ja!) Nie wiem, gdzie wsiąść?... bo mi wszystko jedno, gdzie jechać. Najlepiej lubię errer à l'aventure... i spotkać się z tem, czegom się najmniej spodziewała! Ale Włosi o tem wiedzieć nie mogą i ich wielka dobroć dla cudzoziemca jest już zaniepokojona. Jeden już stoi koło mnie (zdjął kapelusz: skończony gentleman!) i pyta, gdzie życzę sobie jechać? — Nie każdy jest tak szczęśliwy, że może prawdę o sobie powiedzieć zawsze i każdemu! Coby ten signor zrobił, żebym mu się tak przyznała, że nie lubię wiedzieć, dokąd jadę?!... Odpowiadam więc tak jak ludzie solidni: rzecz określona, pierwszą, jaką mi ślina na język przyniosła: „do katakumb św. Agnieszki”. — Pokręcił głową, wybrałam podróż bardzo skomplikowaną, ale nie tracąc otuchy informuje: „Signora weźmie najpierw tramwaj taki a taki, który zawiezie tam a tam, potem... potem...” Objasnienie jest oczywiście

jego mam tuż przy swojej twarzy: Kat! oczy białkami na wierzch wywróciła mu jakaś dzika furja — gęba rozplątana od ucha do ucha... Chwyta mię to w swoje żelazne łapy, zeskakuje ze mną i wrzuca jak walizkę na platformę innego tramwaju jadącego właśnie do św. Agnieszki.

Ach...

W dziesięć lat potem — jestem dzisiaj.

Znów jakiś plac w Rzymie — być może nawet, że ten sam?!... Tramwaje suną jeden za drugim, jak gąsienice... Nie wiem, gdzie wsiąść, choć, tym razem mam bardzo, a bardzo określony cel... Ale tym razem nikt się mnie nie pyta — pytam się ja: „gdzie jest konsulato polacco?”. „O tam stoi guardia municipale” — powtarzam pytanie: „Piazza Campidoglio № 33”. Okazuje się, że plac Campidoglio numeru 33-go nie posiada. — Udaję się do drugiej Guardia municipale i mówię „pański kolega się omylił gdzie jest konsulato polacco?”. „Consulato di Polonia — poprawia mię i w książeczce swojej szuka głośno: „Peru, Bolivia... Polonia? — non c'è”. „Niema?! — jakto Polonia niema?!...” żeby

wniej jazda tramwajem to była ciągła niespodzianka. Ten zakręca raptem dookoła świątyni tak klasycznie rzymskiej, tak cudownie zachowanego Panteonu, że stoisz i czekasz, czy nie wysypie się z niego lud w togach i w chlamydach białych? Tamten wiezie przez trzy najpiękniejsze place: San Pietro, Piazza di Popolo i Piazza di Spagua. — Inny mijają czworobok, wyglądający jak aleje spalonego ogrodu, ustawione z odłamków kolumn — albo cię wiezie przez place przedziwne rzeźbionych fontann. — Jedziesz od stacji szeroką moderną ulicą Cavour — raptem na lewo mały zaułek otwiera ci perspektywę na Colosseum — Teraz szyny tramwajowe — nie wiem, umyślnie, czy nie umyślnie — przełożone są z ulicy na ulicę, tak złośliwie, że wyminięte są wszystkie starożytne zabytki Rzymu. — Tramwaje wiozą cię teraz najnudniejszymi ulicami — możesz tylko oglądać w szybach sklepowych tkaniny, biżuterje, srebra i porcelanę — mniej piękne i bogate, niż dawniej.

Jest w tem pewne brutalstwo nowożytnego człowieka, który na polu konkurencji nie szczędzi rodzonego ojca.

Włosi nie bardzo lubią wielką swoją przeszłość! Czulo się to i pierwszej tylko w stanie skrytym. Było to

literackie; brat jest doktorem w Warszawie, siostra Br. Dłuska — również: była ona jedną z pierwszych pionierek ruchu wyższego kształcenia się kobiet w naszym kraju — studjowała w Paryżu; ja zaś poświęciłam się nauczycielstwu. Atmosfera w domu rodziców naszych panowała podniosła; największą ich troską były dzieci.

Zajmowano się nami, dbano o naszą kulturę, zarówno umysłową, jak duchową. Rodzice, oboje ludzie wykształceni i wyrobieni społecznie, chcieli z nas zrobić dobrych obywateli kraju i pożytecznych członków społeczeństwa. Ojciec miał dużą wiedzę ogólną, znał dobrze języki obce, miał wielkie zamiłowanie do poezji i szeroki pogląd na świat. Cały czas wolny od zajęć zawodowych poświęcał dzieciom. Bawił się z nami, uczył nas i wychowywał.

Pamiętam doskonale lekcje geografii z ojcem, podczas których niejednokrotnie wszystkie meble w po-

wątpliwie ojciec wywarł o wiele większy od niej wpływ na umysłowość Curie'owej.

Tak mi żywo stoją w pamięci chwile naszego wczesnego dzieciństwa, dobre, wesołe i pogodne. Ojciec był przez dłuższy czas inspektorem gimnazjum II na Nowolipkach. Gimnazjum to mieściło się w obszernym gmachu, otoczonym podwórzem i ogrodem. Dzisiaj jest tam Seminarjum Nauczycielskie. Zajmowaliśmy duże mieszkanie, o pokojach obszernych i szerokich korytarzach; mieliśmy własne podwórko, a na niem jakieś drewniane zabudowania, w których mieściły się: drwalka i różne schowanka. Był tam również i stryszek, na który się wchodziło po stromych schodkach. Kochany stryszek...

Jej duże, szare oczy, szeroko na świat otwarte, odbijały duszę tak czystą i piękną, tak pozbawioną zarozumiałości, zawiści lub fałszu, że mimowoli wywierała na otaczających wpływ dodatni, wzbudzała szacunek i miłość, i tworzyła wokoło siebie czystą świetlaną atmosferę. W gimnazjum odgrywała taką właśnie rolę wobec koleżanek, które kochając ją bardzo, liczyły się z nią jednocześnie. Mając 15 lat, skończyła gimnazjum ze złotym medalem. W Warszawie nie mogła kształcić się wyżej, wyjechać za granicę nie miała za co, postanowiła więc zebrać sobie pieniądze na uniwersytet, pracując jako nauczycielka na wsi: jednocześnie miała się przygotowywać do studjów.

Tak też zrobiła. Przez lat kilka była nauczycielką, cały czas wolny od zawodowej pracy poświęcała nauce matematyki. Sama dopełniła wszelkie braki gimnazjalne, przeszła wszystko to, czego wymagano od studentki

MARJA SKŁODOWSKA-CURIE



i ten koń wraz z jeźdźcem, wykąpani całkiem w złocie?!.. Straszne!..

„Maraviglioso“ powiadam — ale dlaczegoż stoimy?! — „A to ten tramwaj dalej nie jedzie“ — „Jakto? — jest przecież napis à San Pietro“ — „to taki stary napis!..“ Ledwie wysiadła, pomknęli pędem strzały naturalnie na San Pietro!

Znudziła ich rola przez świat im narzucona: być krajem pięknych ruin — być małym synkiem wielkich ojców! Trzeba przyznać, że à la longue jest to fatygujące... Niechęć do przeszłości wyrażała się już dawniej we wzroku ironicznym, z jakim popatrywali na tych wszystkich cudzoziemców, sfiksowanych na Rafaelu... wyrażała się uporczywym milczeniem, jakim pokrywali nasze ekstazy i w tym nacisku, z jakim ktoś bardzo często zeznawał, że nie był nigdy w galerji Pittich i nie widział wcale Mojżesza!

Wejdźmy w ich położenie! Robią wystawę malarstwa współczesnego — wystawa jest wspaniała, gdyby ją dał Paryż, Londyn, Wiedeń, byłaby sensacją! Na Włochów współczesnych nikt patrzeć nie pójdzie!

Do Włoch przyjeżdża się po Michała Anioła, po Tycjana, po Botticellich! Włosi uznali za słuszne zasypać Tycjanów i Botticiego, którzy tak długo zasypywali ich.

A przecież jest wyjście trzecie, jedynie zrozumiałe i takie łatwe, a dla wszystkich dogodne! Zasypanymi przez stare dzieła byli nie tylko Włosi, byliśmy my wszyscy, cudzoziemcy! Cud! szczęście! jeśli się komu udało na prawdę zobaczyć kilka arcydzieł, zanim utonął w powodzi starych kiczów, okupiwszy to kilkunastoma migrenami i rozdęciem żył w nogach, wydaniem masy pieniędzy i czasu. Trzeba przejść wszystkie galerje i pałace Rzymu, Medjolanu, Florencji i Wenecji, aby z nich wyłowić tych kilkanaście czy kilkadziesiąt arcydzieł. To znaczy odbyć pieszo wielowiorstową wędrówkę. Proszę obejrzeć chociażby pobieżnie, kilkaset tysięcy rzeźb i płócien?! Choćby zwiedzanie rozłożyć na miesiące, to i tak jest to praca Herkulesowa. Ogół radzi sobie, jak może: zwiedzanie odbywa się nogami. Mózg, a nawet oczy, jak przejezdny żołądek, percepują, ale nie apercepują. Byleby panna Ira, pani Sława — ten literat i tamten doktor, mogli lekceważąco kiwając głowami powiedzieć: „była m“ — „widziałem.“

Ale co jest w tej sprawie najważniejsze i najgorsze to to, że te masy obrazów i rzeźb zupełnie nie warte są widzenia!

To jest scholastyka — to jest ta tyle dzisiaj znieawidzona w obrazie „literatura“ — przecież to są ilustracje do biblij.

Podostawało się to wszystko do muzeów, do galerji dlatego, że w swoim czasie było wielkiem. Ludziom przeszłości te płótna dawały w sztuce coś nowego — były wzorem i nauką, były odkryciem nowych światów. Dziś one nic nie powiedzą studentowi akademji z pierwszego kursu.

Dzieła, mogące liczyć na wieki są to te, które w doskonałą formę zakłęły nieśmiertelny dreszcz, towarzyszący wielkiej koncepcji poetyckiej. — Tylko poezja należy do przyszłości. Dla współczesności wielkością są najczęściej doskonali majstrzy ci, którzy pierwszy raz przewyżczyli jakąś trudność, dotychczas nieprzewyżżoną — pierwi pokazali „jak się to robi.“ Ale to, co jest trudnością dzisiaj, jutro będzie igraszką dziecinną. Wielcy majstrzy i tylko wielcy majstrzy nie mają nic do powiedzenia przyszłości. Tylko historyk sztuki wyznaczy ich zasłudze miejsce honorowe wśród innych zasług.

Trzeba z pośród tych dziesiątków, czy setek tysięcy dzieł sztuki zrobić staranny wybór. Z nich utworzone galerje trzy, cztery stałyby się rozkoszą i nauką całego świata po wszystkie czasy. Nie potrzebowalibyśmy dla miłości kilkudziesięciu arcydzieł tonąć w powodzi bardzo nudnych, często trywialnych *Ma'donn con bambino*, zamęczać się widokiem nieskończonych *Zwiastowań*, w których anioł ma fluksję (nagła zmiana temperatury z rajskiej na ziemską?). — Wniebowstąpienie, w które oko nie wierzy, tak wlatujące ciało jest ciężkie i korowodów nieskończonych panien, doskonale utuczonych, białych i różowych, podkoltowanych mocno do tortury.

To wszystko zamknąć w olbrzymich muzeach dla użytku uczonych, studujących historję malarstwa.

Dla świata wtenczas dopiero odsłoniętem, uprzystępnionem zostanie skondensowane dzieło Starych Mistrzów — które nie rywalizuje z nikim i niczyjej rywalizacji się nie obawia, jest bowiem skończone i jedyne.

Każda szkoła dąży do wydania z siebie takiej jednej swojej pięk-

ności, która w jej słońcu, jest jednym promieniem. Gdy ją osiągnie szkoła, usycha i pada jak kwiat, który już zawiązał owoc. Starzy Mistrze Włoscy rozstrzygnęli problemat twarzy ludzkiej w sposób jedyny i skończony.

Przyjrzyjmy się twarzom z galerji i muzeów. Mają one bez względu na różnice szkół i mistrzów un *air de famille*, co wskazuje, że szkoły ich są gałęzmi jednej. Twarze te są bez wyrazu. Bez tego indywidualnego, hiperbolicznego wyrazu, jakiego dziś poszukuje portret.

Widać, że one nie myślą o tem, iż patrzy się na nich malarz i widz — one nic ze sobą nie robią — nie pozują — są same dla siebie. I nic nie robi z niemi, nic za nie nie wkłada malarz.

Nowożytny portret tragizuje — niekiedy komizuje twarz. Chwyta ją w jakimś gwałtownym gzygaku pasji, nadaje im lubieżny umizg — palącą się płomieniem żądze — gorycz, ból i złość neurastenji — pychę ambicji — wyteżenie myśli — ironję demonizmu. Niektórzy zamiłowani w zmysłowości poszukują dla niej twarzy kobiecej brzydkiej — bo tylko twarz zwierzęca daje zmysłowość dość silną — piękność ma zawsze coś z nieba.

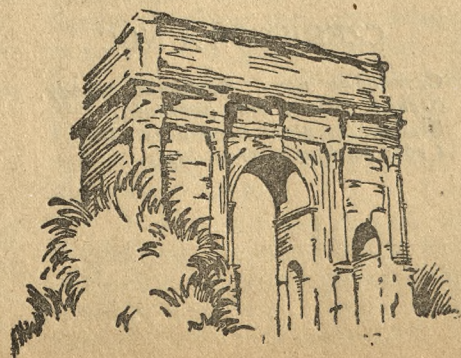
Twarze Starych Mistrzów są bez wyrazu — bo mają jeden tylko wyraz: życia. *Gioconda* nie jest ani piękna, ani nadnaturalna — ani genialna — ani święta — ale ten tajemniczy jej uśmiech, który błądzi po jej twarzy, jest to uśmiech tej iskry, która, wie o sobie — jest to wyraz świadomości, co wiecznie czuwa...

A wyraz świadomości jest niesłychanie skomplikowany, bo jest złożony z całej siatki wyrazów rozłożonej po twarzy, z których każdy dopełnia, mityguje, cieniuje wszystkie inne. — W świadomości bowiem w skondensowaniu mieści się całe życie. Twarz w spokoju, która nie pozuje, która wiedząc, że jest samotną, jest zupełnie sobą, nosi na sobie wypis całego życia i całego swego charakteru. Każdy stan, który przeżywała, targał dotąd jakimś jednym jej nerwem, jednym muskulem, jak palec trącający wciąż jeden klawisz, aby wydobyć z niego ten sam dźwięk — tak że to targanie zostawiło na twarzy w tem miejscu ślad: ściągnięcie, zmarszczkę, fałdę, znak swój. — Ze znaków tych, z ich sieci, układa się to jedyne słowo, które jest hieroglifem duszy, wypisanym na twarzy.

Do takiego portretu, pozowanie jest niczem — ono daje tylko linje maski — Mistrz musi mieć tej twarzy przenikliwą wizję, która ją odgaduje taką, jaką jest, gdy jest sama z sobą.

Oto jest sekret nieśmiertelności Starych Mistrzów Włoskich. — Sztuka ich jest jedyna i skończona.

Marya Grossek-Korycka.



ZOFJA ROŚCISZEWSKA

## BIAŁA SUKNIA

Miałam białą suknię... suknię miałam białą,  
Kiedy pierwszy raz całowałeś mnie...  
Przemineło wszystko, zanim z drzew zerwało  
Tętnienie zimy mosiądz i szafran i rdzę...

Miałam młode serce, miałam duszę białą,  
Kiedy pierwszy raz całowałeś mnie...  
Dziś z dziecinnej duszy już nic nie zostało —  
Czy to lepiej dla mnie, czy to bardzo źle?...

## CHRZEST

Pamiętam pierwszych pocałunków chrzest:  
Jest biała suknia... zapach fiołków jest...  
Uśmiech zaledwie pogardliwy...  
Ta sama zawsze biegnie wspomnień nić,  
Zawsze te same dekoracje...  
Chciałeś, ażeby ci przyznała rację,  
Że życie jednak warto żyć.

Pamiętam pierwszych pocałunków chrzest...  
Nie było à la Wilde, słowika, róży,  
Był srogi, głuchy dreszcz nadciągającej burzy —  
Był uśmiech ledwie pogardliwy..

.....  
Wśród dobrych traw zdradziecki miecz pokrzywy.

## NIE PÓJDĘ W SAD

Nie pójdę w sad.  
Mam zawrót głowy.  
Wśród białych pni  
Jest uli rząd,  
A ty masz włosy blond,  
Jak miód lipcowy  
I oczy, jak brunatny miód —  
Nie pójdę w sad,  
Zmurszałych nie otworzę wrót.  
Mam zawrót głowy.  
Tam kwitnie róży krzak  
Kroplami krwi  
I rani kołców ostrogami —  
A ty masz usta im podobne tek,  
Nie pójdę w sad!..

.....  
Znam płatki z drapieżnemi ostrogami.

## ZABAWA

Bawię się z tobą w cień,  
Którego dogonić nie mogę...  
Dlaczegoś podł na moją drogę,  
Jak serca własnego cień?

Bawię się z tobą w bańkę z mydła,  
Której chwycić nie mogę do ręki  
Bo tęczowe porwałabym skrzydła —  
Ty—ze wszystkich dorosłych—Maleńki!

## CZERWCOWA NOC

Czerwcową noc... Kamienna schody,  
Srebrną zalany dom poświatą,  
Kłódzie się złoty sierp na wody  
I róże pachną... lato... lato...

P H I L I P P E B A R R È S.

## W O J N A D W U D Z I E S T O L A T K Ó W

(La Guerre à Vingt Ans).

Od niepamiętnych czasów Polska hodowała typ condottiera. Ta jednak zawsze była różnica między włoskim czy niemieckim zabijaką z zaciężnej roty a polskim żołnierzem „legji cudzoziemskiej”, że Polakowi za żołd starczyła sława lub dobra dla Ojczyzny nadzieja, zaś innym nacjom lennugi trzeba było po wsze wieki płacić brzęczącym groszem.

Internacjonalność polskiej szpady, nigdy niemilknąca ochota rozsiewania własnych kości po wszystkich polach świata dały nam — jako odwet — poczesne miejsce dla Sobieskiego w galerji królów choinkowych i kult dla czarującego „prince Poniatowski” wśród alzackich chłopek.

Literatura również zachowała dla Polaka jeden z tkliwych uśmiechów. Niestety, jest to uśmiech starej panny. Bolesciwy, choć słodki i, mimo całą zalotność — jałowy. Od czasu zwłaszcza utracenia przez Rzeczpospolitą niepodległości — do romansów europejskich wkroczył młodzieniec wzniosły, bladolicy, ponury a tęskny, który zajmował się odprawianiem praktyk czarnoksięskich na tle szalejących krajobrazów, miłością łzawą, jak fontanna i sztyletowaniem po zaułkach cudzoziemskich dygnitarzy. Młodzieńcem owym był oczywiście „le fils infortuné de la nation martyre”. W ciągu dziesięcioleci osobnik wzmiankowany zmieniał wielokrotnie krój czamary, tużurka, czy fraka, jak również układ barw na swej palecie buduarowego malarza. Raz prezentował damom równianki o tonach pastelowych, pieściwych, to znowu błyskał ogniem i siarką, niby smok z pod Wawelu. Zawsze jednak — opuszczając „pokoje” — bez względu na to, czy ostatnie wyjście być miało na „assamble”, czy pod szubienicę — układowie szastał czupryną i z ręką na sercu wypowiadał komplement na cześć śmierci — najśodszej z kochanek.

Przytoczony poniżej w tłumaczeniu urywek z książki p. Filipa Barrès'a (syna sławnego Maurice'a) zaświadczy, że typ tkliwego palladyna „de la nation martyre” ma żywotność niezwalczoną we francuskiej literaturze.

*Maria Kuncewiczowa.*

\* \* \*

Pewnego wieczoru Alain poznał młodego polskiego księcia — ucznia Dettaille'a — nazwiskiem Pratz, o którym nasłuchał się już mnóstwa opowieści od swych przyjaciół — Jerzego i Gui. Ponieważ Pratz znakomicie

znał język niemiecki, powierzono mu misję podsłuchiwania przez mikrofon rozmów telefonicznych, prowadzonych w okopach nieprzyjaciół. Pędził więc żywot dość tajemniczy, wyczekując całemi dniami — z uchem przyklejonym do anten — w dziurze jakiejś na pierwszej linii. Tak właśnie zastali go Alain i Gui: klęczał w brudnej jamie ze słuchawką przy twarzy. Spostrzegłszy nadchodzących, dał im przyjacielski znak ręką, by poczekali chwilę, i Alain obserwował go wtedy.

Wysoki chłopak, blondyn, nieco pochylony; głowa podłużna, nisko ostrzyżona niemiecką modą, rysy cienkie, pozbawione wulgarniej piękności, lecz przeświecone dobrocią i marzeniem.

— „Jakże daleko odszedł — szeptał Gui — od owych włości w Polsce, gdzie rósł kochany i wielbiony przez tłum oraczy, niby mały książe feudalny...”

Młodzi ludzie z lubością roztrząsali historję towarzysza, widząc w niej błyskotliwą replikę na własne przeżycia.

— Jak dalekim jest dziś od uroczystości gwiazdkowych, którym patronował z wysokości tronu, i od błoni w Harrow, gdzie w biegu z przeszkodami bił na głowę najteższych jeźdźców Anglji. W jakiej dali błękitnej zostały za nim kwiaty naszej Riwiery, które kochał za ich banalność i uroczy smutek.

Swoje talenty cudownego dziecka — muzyka, malarza i jeźdźca — przyjaźń najświetniejszych kół Europy — wszystko to odrzucił, żeby poświęcić się jedynej miłości — ku Polsce nieszczęśliwej...

Nagle Pratz ciska aparat i podnosi na przyjaciół wzrok przysłonięty łzami.

— Der Pole — mówi. — Kapitan niemiecki zażądał w drugiej linii podoficera na wypadek, a adjutant odpowiedział mu: posyłam Polaka!

Alain patrzy w milczeniu na dzielnego żołnierza, za którym aż na placówkę przyszła wizja jego rozdartej Ojczyzny. Młody Francuz czuje, jak bardzo wielkim jest przywilej spokoju moralnego w pierwszej linii okopów. I rozpala się w nim przywiązanie do Pratz'a, romantycznej figury, śladem Kościuszków i Poniatowskich rzuconej w objęcia Francji — przez miłość dla swego kraju.

— Poznaję cię, bracie z Europy Środkowej, wychowany w kulcie dla wielkiego cesarza, marzycielski, zachwały, wrażliwy i — mimo wszystkich darów ducha — nieszczęsny...

W Bois — l'Abbé, podobnie jak w Maulers, toczy się życie łagodnie w cichej atmosferze, tak właściwej prowincjom nad Oise'ą.

Od rana pluton jest w marszu. Podwórze, fermy zalane jeszcze mrokiem, a gołębnik już sterczy w leciutkiem powietrzu — taki zielony i taki niebieski! Żołnierze wychodzą ze wsi, śmiejąc się i tłocząc; potem wszystko zacicha. Zrzadka stuknie o kolbę wypróżniana fajka.

— Wszystko jedno, jabym i tutaj końca wojny doczekał...

— Cóż to ci się tak na zółc zebrało?

— Ii, nietylko ze szczętem przecie oni o nas zapomnieli...

„Oni”: rząd, sztab generalny, dalekie potęgi tego świata! Alain uśmiecha się wzruszony naiwnym wyzwaniem, w którym drży żądza życia. A tyłu jeszcze musi zginać!

Pies biegnie, nieufny i ochoczy, podszyty skaczącym cieniem. Każdy woła: „Medor! Azor! Pódz tu, Burek!” — a on wydaje się zdumiony, że zatrzymał na sobie uwagę tylu groźnych mężów.

Oto pierwsza kulista jabłoń, a u jej stóp, wśród zboża, zdeptane miejsce. Nie ujdzie uwagi żołnierzy ta pachnąca ośmnastem stuleciem ałtana dla „zaskoczonych kochanków”.

— Oho — powiada Darreau — nie nudzą się tutaj! Czy to ty, Robic, z Anusią?

Podkute obcasy skrzypią na zwirowanej drodze za każdym masywnym stąpnięciem, i nagle zrywa się piosenka:

„Ayez pitié, je vous en prie  
De la charmante Rosalie...”

Tak oto, w blaskach jutrzeńki pławi się radość, która — zwolna nabiera tonów smutku, marzenia pełnego dni wczorajskich i godzin jeszcze nie nadeszłych.

Pod wieczór, rozciągnięci na łące, żołnierze patrzą na powracające stada. Ileż to myśli owe spokojne poruszenia sielskiego życia budzą u chłopaków, którzy umrą pewnie! Alain odnajduje przyjaciół: Gui, Brolly, Jerzego. Wszyscy cisną się do Pratz'a i nalegają:

„Pratz, bardzo dobra chwila na muzykę! Zagraj nam Chopin'a!”

Ale Pratz wymawia się giestem sobie właściwym: lewa ręka wyciągnięta przed siebie — śliczny śmiech — rozczarowany i łagodny:

— Ja? Moi chłopcy!

Uprawdzają go jednak siła i w jakimś ciemnym pokoju melancholik kochany zasiada do pianina. Na nędz-

nym insrtumencie snuje — wedle zachcianek fantazji — szerokie melodje słowiańskie. Słuchacze widzą, jak otwiera się przed nimi step i kraina jezior ciągnie oczy w nieskończoność. Stopniowo — oderwani od małych trosk życia codziennego — przewrażliwieni, wznoszą się do wyżyn tragicznego poczucia hazardu, któremu ulega kraj cały, i pojmują straszliwe niebezpieczeństwo, jakie mu zagraża.

Czy ujrzymy zwycięstwo? I, jeśli je ujrzymy, jeśli dotrwamy, czego zażądamy od życia?

Gui, syn normandzkiej rodziny, który rósł z twarzą zwróconą ku Anglii, rzekł:

— Przejdę przez najcięższe doświadczenia i zostanę sobą; nie rzucę ani tego monokla, ani tego Baudelaira'a, ani tego tomu Alberta Sorel'a, w którym oglądam, jak ludzie w myśl-

lach odrabiają to, co jest naszym cierpkim życiem dzisiaj. A, jeśli wyjdę z wojny cało, będę znowu polował na bekasy, grał w golfa w otoczeniu ludzi przesądnych i krótkowzrocznych, nie zdając im bynajmniej sprawy z bogactw, które wojna nagromadziła we mnie. Zawsze rozkoszą moją będzie wymykać się życiu duchem, oddając mu jednocześnie na żer własną osobę materialną.

— Chciałbym — podjął Alain — by człowiek młody wzbogacił się prześciami wojny, żeby w ogniu wytrawione zostały na jego psychice barwy, które zazwyczaj czas przynosi; i — żeby w ten sposób obdarzony skarbami obu wieków — stał się godzien sławy i najpiękniejszej miłości.

Instynktownie wracały dziecinne sny...

— Jesteście młodzi — odezwał się Pratz. — Ja nie żądam już niczego, ponad śmierć w dobrym stylu.

Wszyscy wreszcie jęli się uśmiechać na myśl o psotach, jakie los chowa jeszcze dla nich w zanadrzu. Ten uśmiech jasnowidzący, który im samym sprawiał radość — dokładniej odbijał myśli, niż wypowiedziane słowa.

...Ostatnie stado, wracając, porbrzękuje dzwonekami; odległe grzmoty, niesione przez wiatr zdają się świat zasypywać; Jerzy, uderzając dłonią o tom Verlain'a, którego nigdy nie chciał usunąć z plecaka, powtarza z przekonaniem:

„L'âme seulette a mal au coeur d'un ennui  
[dense,  
Là-bas, on dit, qu'il est de longs combats  
[sanglants...“

MARJA DĄBROWSKA

N O W E L A

## ŁUCJA Z POKUCIC

Otóż za ich pośrednictwem postarano się wyciągnąć Łucję z Pokucic i to jak najprędzej, bez wymówienia, zrzekając się części zasług i ordynarji.

Ludzie z Pokucic stali akurat nad kopcami swoich kartofli, wśród krajobrazu całego w siwych rżesach szronu — w mrozie przedwczesnym, zjadliwym i bezśnieżnym. Nie mogli się byli doprosić, żeby im dali zawczasu wykopać kartofle. Kopali je dopiero na pierwszych mrozkach. Dołując w strachu i na gwałt, coś widać źle porobili. Nie ogacili też jeszcze kopców. Kartofle zmarzły.

Był to ciężki dzień, z którego człowiek chciałby dokądś nawrócić, z którego chciałby się wycofać w onegdajsze lepsze czasy.

Łucja stała przy swoim dole z płaczem zmarzniętym na twarzy, gdyż prócz tego Michał miał iść dzisiaj na swoje smowy z owczarówną.

Fury ze ściółką nadjeżdżały żąłobnie, a obrośnięte mrozem konie potykały się na grudzie.

Lecz między furami szedł ktoś i Łucja rzekła:

— Czy to nie Stachu Kucza idzie drogom?

— On! On! — dodała i patrzyła, jak błądził niepewnie.

— Tutej, tutej! krzyknęła, widząc że pyta się ludzi.

— Na wieki wieków, odparła na jego powitanie. Kartofle nom zmarzły — dodała smutno.

— Chto ta bydzie miał dobrze, jak na dziadach służy — powiedział, gdy szli do czworaków.

Z jego przyjścia wynikało, — że wszystko jest już w Rusocinie umówione przez brata Józefa Kuczę, tamtejszego włodarza. Łucja się tam zgodzi za oprzędkę na miejsce Feliksowej. Przyjmą ją bez terminatki, na słowo Józefa.

Za co tak o niej myślą? Bo dobrze drugiemu życzą.

— No to jak bydzie? — pytał, gdy się wahała. Drugi raz takiej okazji się nie trafi, bo Józef sobie już grunt kupił i już aby do kwietnia tam dośłuży.

W upadku ducha, w jaki pogrzyła ją zdrada Michała, zgodziła się Łucja na wszystko — i oto w jaki sposób, od Nowego Roku przyszła na oprzędkę do Rusocina.

\* \* \*

Raczej nie przyszła, tylko przyjechała na wysokim wozie ubogich ludzi, który pierwszego kwietnia i na Nowy Rok zjawia się w pustych drogach wsi.

Ze wszystkich stron widać było cztery nogi sprzętów — i najeżone niemi, Zosia i Łucja siedziały wśród pościeli.

Do Rusocina wjeżdżało się jak między wieże, — tak wielkie tam były drzewa, tak poważne aleje, tak wszystko zimne i wysokie — żółte — bezśnieżne — w blasku słońca i mrozu.

Oficyna tylko, gdzie Łucja miała mieszkać, wśród kurników, była niska, tak niska, że zdawała się nie stać, a leżeć pod czarnym dachem.

Olbrzymie kasztany odgradzały ją od parku i wodziły od niechcenia po dachu zwieszonymi gałęziami.

Gdy tylko Łucja weszła, na progu małej izby stanęły natychmiast kury i przypatrywały się na jednej nodze, kurcząc i rozkurczając pazury drugiej. Łucja wygnała je.

W izbie było zimno, jak na dworze — a naokoło milczenie obcej strony. Słuczzone okienko świegotało w podmuchach północnego wiatru, w których noc nadpływała falami ciemności. Zosia bała się tego i płakała.

— Mama, zapolta lampkę! Mama, lampkę — szlochała, nurzając lepką od płaczu twarz w kolanach matki, i bodąc ją głową. Łucja głaskała ją, sama przerażona i niepewna.

— Poczem tyż tu przyjechała — jak tyż to tu wredno — mówiła z goryczą. Gdzie twój tatuś, gdzie — pytała dziecka.

Poczuła się związana z tą jedyną na świecie istotą — z małą Zosią i pełną czułości zakolysała ją w ramionach.

— Nle płacz dziecuchno. — Zjadła byś co, zjadła? Poczkej mama zrobi kolację.

Zaczeły szukać drewek, zapalek — nie wiedząc, gdzie co jest.

Potem z lampką w ręku Łucja krążyła od kąta do kąta.

Dotykała pytającą dłonią każdego miejsca, każdej ściany, jakby chcąc napić tę obcość sobą — a grube cienie tobołów przemieszczały się po ścianach.

— Okno trza zakleić, rzekła — dziurska pozalepiać — wszystko narządzić, wysprzętać.

— I jak żyć, tak żyć — dodała. Okazało się teraz, że Łucja lubi chodzić koło drobiu.

Także i około świń.

Lubiła to jeszcze kiedyś na Rusocińskiej koloji, w domu rodziców.

— Ile my tam tego mieli, mówiła z pycha, gdy ją pytali, skąd się na tem zna.

I zlawszy do wiader pomyje, zasympawszy je ospą, szła do świń śród mrozu, tnącego jak szkło.

Sciany były żółte od słońca, śniegi ostro niebieskie. Drzewa, obrosnięte sacją, jaśniały puszystym blaskiem na granatowych niebiosach.

Po jęczącym lodzie stawu biegali chłopcy, a w obleczonych na biało trzcinach, błakał się zimorodek, jak skrawek tęczy w śniegach.

Łucja postawiła wiadra, szczękać nosidlami. Żelazne pałaki stuknęły w obręcz, a lodowata cisza rozgłosiła daleko te dźwięki.

W zjadliwym zmroku chlewów świnię chrząkały i wybuchały krótkimi kwiknięciami, jakby je nagle coś okropnie zabolalo.

Niektóre leżały blade, tłuste, olbrzymie, stękając pytająco.

Inne potrosze siedziały, wyglądając zatroskanemi oczami z pod białych rzes, i uszy kiwały im się rączko na ociężałych łbach.

Przytem też coś mrucały, marudziły, nukały, a ich płaskie, okrągłe

nosy ciągle się ruszały z góry na dół i ryły coś po powietrzu.

Obrzydły belkot pomyj postawił je wszystkie na nogi.

Żarły, włączając raciami do szarego sosu, w którym czwalały się pacy ny ospy, ziemniaki i obierki.

Łucja trącała je wiadrem, gdy wywalały jedzenie na ziemię.

Pomimo zimna stała wciąż, gdyż przyjemnie jest patrzeć, jak stworzenie żyje.

Najadłszy się, maciorki wystawiły z niesmakiem ryje, wydając chrząknięcia, podobne do czkawki.

Wtem prążka czerwonego słońca zakradła się do chlewa i przemykała przez ciemne belki.

— Jaki to krótki ten dzień, mówiła przerażona Łucja i wybiegała spojrzeć na purpurowe blaski, w których kapał się wieczorny śnieg.

— O żeby tyż ty nocy nie było— żeby tyż nie było— wdychała z oczyma ciepłymi od łez.

Nie mogła narzekać, żeby ludzie o niej nie pamiętali, bo pamiętali chociaż i w obcej stronie. Była taka, że zawsze ktoś u niej siedział, zawsze ktoś przyszedł dowiedzieć się, co u niej słychać.

Lecz w nocy nikt nie przchodził, i było jej tak zimno spać, i było jej tak smutno.

Żeby skrócić te wielkie godziny osamotnionej ciemności, chodziła z zuz do Kuczów — lecz musiała tego zaprzestać, gdyż poznała, że ją nie radzi widzą. Ma się rozumieć — przecież trzymali ze starymi. Wszyscy byli nieradzi, oprócz tego najmłodszego, Stanisława, zwanego Stachu. Służył on tu także też tak samo jak brat, oczekując aż najstarszy, ten co miał Bogaczównę, wypłaci ich z ojcowizny — i aż będą mogli sobie kupić grunt.

Lecz o tym Stachu Kuczy źle mówili. Naprzykład, że żył z dziewczyną, która u nich była za posyłkę, z taką małą piętnastoletnią Manią. Że tę Manię bił, że żonę bił też, i że zawsze było koło niego gorące piekło — a w domu sodoma i gomora.

Łucja tego nie uważała, gdy u nich była. Owszem, żona Stacha patrzyła na niego bardzo mięko, a ta Mania uwijała się między nimi śpiwający, jak żywe srebro.

Stachu nie był też taki dumny i chętnie ją odwiedził dwa, lub trzy razy.

(c. d. n.)

26)

# D R O G A M I D U S Z Y

HELENA CEYSINGERÓWNA

(D o w i e ś ć)

ROZDZIAŁ XVI.

## NA JASNĄ GÓRĘ

W kościółku Ojców Kapucynów w Nowem Mieście rankiem ciche odprawiano msze.

Wtem — głuchy, coraz bardziej zbliżający się, szum, niby nawałnicy, czy orkanu!

Kościelny szybko otworzył na rozcież główne drzwi kościoła. W przed-sionku — tupot setek nóg i do wnętrza wdarł się tłum z chorągwiami, z pieśnią i zbitą falą, w gwałtownym pośpiechu parł ku ołtarzowi. W tej chwili zadzwoniono na Podniesienie i tłum cały, z jękiem, krzykiem, płaczem runął na ziemię. Rozkrzyżowane ciała robaków ziemskich — przed wizją Przedwiecznego Słowa!

To kompanja warszawska w drodze na Jasną Górę!

Wandę tłum ten wniósł do kościoła i położył ją krzyżem na ziemię, wraz z sobą. Wraz z nim lkała jękiem umęczonej duszy ludzkiej,

Potem przystępowali do Stołu Pańskiego. Szli na kolanach. Pierwszy Matwij. Plecy miał wielokroć zorane batami, zęby wybite i jedno oko wystrzelone. To też ciało starca już lekko tylko trzymało się duszyczki, każdej chwili gotowej do odlotu. U samego końca pokutnej drogi, zdało się że zabraknie mu sił, że nie dowiecze się do ołtarza. Ksiądz dojrzał posuwającego się z wysiłkiem wyznawcę i postąpił ku niemu. Wyciągnął Matwij żyłaste, drżące dłonie ku Panu Bogu swemu i przyjął Sakrament Ciała i Krwi — ale w tej chwili pochylił się w bok i byłby upadł na mchy leśne, gdyby Hryć nie pochwycił go w ramiona. Na ręce jego schylił, długim, białym włosem usrebrzoną głowę i zasnął błogo, jak dziecię.

Już ksiądz powiązał był stuła ślubne pary, w czystości dusz i ciała czekające godów swoich weselnych, już wodą Chrztu Świętego zlewać począł główki niewiniątek, gdy konnica moskiewska, grzęznąc po brzuchach końskich w moczarach, otaczać ją las...

skarżące się w wielkim, nieutulonym żalu.

Wychodząc z Wazszawy, przybrała na się strój pielgrzymek: jaką jasną, kretonową spódnice, podobną kaftanik i na głowę welon biały, którym osłaniała twarz od słońca i od ciekawych spojzeń ludzkich.

Od czasu bowiem, jak cudem niemal wymknęła się z oblawy moskiewskiej, w puszczech Podlasia, czuła potrzebę mylenia za sobą śladów, przenoszenia się z miejsca na miejsce, zapadania nieraz na całe tygodnie w jakimś odludziu, zmieniania szaf, a nawet charakteryzowania rozmaicie twarzy... „Widziała“ za sobą jakiś pościg.

Teraz, jak wszystkie pątniczki niosła na plecach, związane w węzłki zawiniątko, lecz nie zapasy żywności mieściły się w niem. Ciężko jej ono zwłaszcza z początku, bardzo, wypchane będąc książeczkami, obrazkami, medalikami o treści i symbolach, niedozwolonych przez cezurę rosyjską. Zapas ten jednak zmniejszał się bardzo szybko. Na popasach, przy okach, gawędząc z ludźmi, pokazy-

to brząk, to książeczkę, to medalik, poświęcony w Rzymie... Pątnikom oży gorzały do tych osobliwości i dyby nie nakazana sobie przez Wandę wstrzeźliwość i ostrożność mogłaby rozdać wszystko w jednej godzinie.

W Nowem Mieście przyłączyły się do kompanji liczne gromady nadpolicznego ludu i zapas Wandy stopniał od razu. Chłopi brali chętnie wszyscy i ci, co umieli czytać, i ci, co nie umieli, w nadziei „ze im toto za powrotem do dom ktosik wyzna, op na książce umi“.

W samej Częstochowie dopiero odnowić mogła zapasy tej „nielegalaczyny“, więc tymczasem żywe jej słowo szło między gromady.

Opowiadała im o śpiącym w Tatrach rycerstwie króla Bolesława — ta bajka strasznie się podobała niecąc tęsknoty do chwili przebudzenia. — Mówiła o Jasnej Górze, o Kordeckim, o Pułaskim ...o cudach zmartwychwstania.

Potem przysły wiersze. Wyczerpywała do dna wszystkie, z dzieciństwa jeszcze nagromadzone w pamięci skarby. To wszystko, co ongi czarowało jej wiek dziecięcy, to wszystko teraz, z hojnością nie zrównaną, stawiała im otworem, i, jak to komu...

Warszawiacy najlepiej lubili powieść o Kilińskim: Jak to Igelstrom mówił do „a ty szewcze, kuternogo co ty będziesz buntu robić?! ja cię każę złupić, obić! mów, czy prawda, że lud z tobą?!“.

„Prawda panie! — odpowiadali chórem, wyczywszy się już tej strofy od ciągłego powtarzania „Prawda panie! każdą dobą!“

Do chłopów trafiał lepiej Lenartowicz „Bitwą Raclawicką“.

— A jak tam panienko o onym Bartosie? — przepytawali Wandę.

Na kobiety zasię bardziej działała „spowiedź w cytadeli“, albo „Matka Makryna“.

Wkrótce chodziła Wanda, otoczona gromadami, które ją strzegły, trawając od niej jak najdalej pewne kęsy indywiduum...

— Plecami do siebie, chłopcy — menderował stary mazur — bywać — i nie puszczać kogo nie tzał

W drodze, gdy szli, śpiewali pieśni pobożne, lecz, gdy tchu brakło gardła wyschły od skwaru, zwracali się do Wandy, a ona im znów pawiła o Łukasińskim, o Konarskim, o Scegiennym... Wątku nie zbrakło nigdy.

Już od Warszawy szła z nimi gromadka unitów. Miała Wanda między nimi znajomych i pomocników; czasem, przy ognisku, wyzwany na opowiadanie unita, zwlekał z pleców koszulę i pokazywał blizny od batów kozackich. Wtedy Wanda milkła. Mówiło słowo osobistych przeżyć i blizny mówiły...

Tych kilka dni pobożnej pielgrzymki minęło Wandzie, jak sen. Nie była trudu, nie doznawała gorąca.

Upojona była ciepłym wichrem polnym, upojona nastrojem ekstazy religijnej, który ich wszystkich niósł niby na skrzydłach, upojona nadewszystko tem rozdawaniem własnej duszy w każdej chwili, rozdawaniem bez pamięci, na wszystkie strony, bez miary i rachuby — zdawałoby się — do ostatka! Ale dusza — źródło niewyczerpane — im więcej dawała, tem bardziej rosła. Rodziły się w niej nowe dary: jakiś przepiękny talent trafiania do serc i umysłów, którego dotąd nie znała w sobie; nasuwały się same jakieś słowa mocne, stare, dobre, jakieś słowa chłopskie, może z mroków pamięci dziecięcej wskrzeszone; głos wzbogacił się tonami, co jak melodia kusząca, wnikały do prostych serc... spojrzenie nabrało woli napastliwej, zmuszającej do wiary i do ukochania na śmierć... Jakiś duch gorący szedł z nią, jakiś płomień, który zapalał niepalne dotąd materjały dusz ludzkich. A wszystko to w prostocie i trudzie pielgrzymowania jako w drzewianej ramie obraz cudowny!

Kiedyś, gdy za Gidlami już, idąc pod wieczór, śpiewali „Serdeczna Matko!“, na myśli Wandy nasunęła się pustelnia Tybetańska. Tam skupiałaaby ducha, tu go rozprasza... a skutek jest, jakby przeciwny temu, co mówił Jan. Tu rosną jej skrzydła, tu własnie! a tam w obcym gnieździe orłów skalnych, czy nie złodowaciałaby jej dusza?... I czy kiedykolwiek mogłaby się czuć tam tak szczęśliwą, jak tu, na łonie Matki...

Nigdy! Nigdy! nawet z nim! nawet z nim! — mówi sobie Wanda. I na najbliższym przystanku zasypia na chwilę snem cichym, głębokim, zda się, bez tęsknot i marzeń...

W Częstochowie opróżniła Wanda wszystkie składy organizacyjne ze wszelkich popularnych, ludowych druków i rozdawszy swoim unitom, oraz kilku nowym, ale już jakby krwią serdeczną zapisanym, adeptom, rozstała ich z tamimi skarbami po innych kompanjach, po wielkich obozowiskach i gospodach, gdzie zamieszkiwał lub pod gołem obozował niebem lud z całej Polski, od Odry po Niemen, ba po słupy Dnieprowe... przywieziony tu nabożeństwem do Przenajświętszej Paniienki.

Kazała im rozdawać prędko i nie wdając się już w rozmowy:

Sama, wysubtelnioną wrażliwością starej konspiratorki, czując na śladach swoich jakieś stopy gończe, postanowiła wyjechać nazajutrz, pociągiem którymkolwiek, w nowem przebraniu. Z jedną ze znajomych unitek zamieniła się na jej strój podlaski, ale noc postanowiła jeszcze spędzić wśród tych tłumów, rozumiejąc, że jako puszcza olbrzymia, stanowią one najbezpieczniejsze schronienie.

Wieczorem jeszcze rozmawiała z kilkorgiem najbardziej zjednanym dla sprawy; dała im swój adres w Warszawie i kazała się zgłaszać po rady i wskazówki; jednemu, z nad

granicy austriackiej dała krakowski adres „Polaka“; była jak zwykle ożywiona i pełna entuzjazmu, ale gdy wszyscy, już znużeni nad miarę trudami i wrażeniami pielgrzymki, posnęli — dusza w niej posmutniała nagle. Odszedł płomień, który żywił dotychczas ją i te rzesze gołębi, a z głębin podświadomości podniosło się jakieś widmo i stanęło. Widmo miało na razie twarz szarego indywiduum, które od samej Warszawy towarzyszyło jej w pochodzie, czasem nasuwając się na oczy, to znów znikając na długo, w morzu głów ludzkich.

Nie mogła się opędzić wspomnieniu tej twarzy i spać nie mogła...

Wstała więc i poszła na końce obozowiska, gdzie już nie było ludzi, a zaczynały się pola.

Ze spadu Jasnej Góry widok jest niazmiernie daleki.

Noc była pogodna, jasna, księżycowa.

Miesiąc sierpem wąskim srebrzył się na błękitcie. Potem z mgieł wzeszła gwiazda zaranna i stanęła w polu księżycowem, tworząc z nim razem „Leliwę“, tajemny znak prastary. Na ten widok roztajała dusza Wandy. Wszystkie, bezimienne tęsknice jej dzieciństwa wstały w tej chwili i wyciągały dłonie ku tym pieknościom, ku tym dwom „światłom niebieskiego dworu“. I poczuła, że w ciszy nocnej coś się poczyna... Najpierw przyleciał wietrzyk polny i muskał jej czoło i kładł się na powiekach gorących niewymowną, duchową pieśczętą. Potem nawiał woni kwiatów leśnych i tych z ugorów, i tych, co po cmentarzach rosną. Poznaje Wanda: to macierzanka, to ruta, to słodkie łąbiny a to hreczki różowawej, miodna dusza... to storczyk dziki, biały storczyk leśny, najmilszy... tylko kwiatu jabłoni niema — ten przekwitł już... i na zawsze...

Potem przyleciał wietrzyk — muzyk. Gorący był i gwałtowny. Grał jej oberki, mazury wiejskie, huczał jak basetla, a czasami, jak skrzypczki chłopskie, płakał...

Nagle ucichło wszystko.

Od łąk szły białe panie, szły mgły przepiękne, najukochańsze. Gieły się w widziadlane szyje olbrzymich łabędzi, snuły przezręczystemi szaty zaklętych królewien, brały kształty i lica umarłych rycerzy, lecących na podbicia księżyca, słały się, jak najzwiewniejsza melodia po kurhanach ludów... grały przed nią teatrum zaczarowane, a w końcu rozwiały się, ode szły, czy cofnęły w głąb...

Nowe poczęło się dziwo: błędne ogniki! I one, i one też! Najsmutniejsza, najpodobniejsza do sierot, duszki obłąkane, ale świetliste...

Tańczyły przed nią smutny jakiś taniec, to w pary się łącząc, to każdej z osobna, to rozlatywały się w dal to podbiegały ku niej i prawie u nóg jej gasły...

## MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 1826)

Pułkownik Moretti, stary Napoliończyk, wpadł w obłęd, podejrzewając, że towarzysz jego jest prowokatorem i myśli jego podsłuchuje.

Ostatniemi czasy pomieszczono po dwóch więźniów w jednej celi, aby chorzy i wycieńczeni mogli sobie wzajemnie usługi oddawać. Z Confalonierim pomieszczono Andryane'a, co było dla obydwóch wielką pociechą, ale potem znów ich rozdzielono i badano młodego Francuza o „tajemnice“ hrabiego, zresztą bezskutecznie.

„Pocieszyciel“ wrócił do Wiednia bez konkretnych rezultatów.

Cesarz, przedewszystkiem, pytał o Confalonieriego.

„Nie wymienił swoich współpracowników? To dowód, że niema w tym człowieka ani krzty skrucy i nie zasługuje na żadną łaskę!“

Paulowicz, obawiając się niełaski monarchy (niesłusznie, bo i tak został niebawem biskupem w Cattaro), zemścił się za swoje niepowodzenie.

Pewnego dnia Włosi, podczas przechadzki, udzielanej dwa razy tygodniowo na więziennym tarasie, zobaczyli niezwykle widok: murarzy i stos cegieł. Strażnicy objaśnili ich, z widoczną przykrością, że cesarz kazał wystawić mur, który zakryje zupełnie widok z okien ich cel. „Ktoś“ zwrócił uwagę w Wiedniu, że mieszkańcy miasta mogą się porozumiewać z więzieniem znakami, za pomocą teleskopu.

Widok z góry był bardzo piękny. Mur szary, obrzydły, zabrał biedakom tę ostatnią pociechę, aby sprawdzili się słowa cesarza—„widząc tylko niebo, myśleli tylko o niebie“.

Nie koniec na tem. Intendent forticy, kapitan Smerczek, przyszedł na inspekcję wściekły za otrzymane połajanie za pobłażliwość, i klnąc bardziej, niż aresztantów, „czarnego“, (tak zwał Paulowicza) za jego donosy, pozabierał kilka ostatnich książek, zostawionych prowizorycznie więźniom, zabrał, na rozkaz Jego Apostolskiej Mości, nawet biblię, zostawiając jedynie niemieckie dewocyjne książeczki, przywiezione przez Paulowicza, a układane przez Jezuitów w Wiedniu, zalecające uległość wobec władz, jako pierwszy obowiązek dobrego chrześcijanina.

Za to — oświadczył kapitan—cesarz uwzględnił łaskawie prośbę, którą Confalonieri wniósł na ręce księdza, ufając jeszcze z początku dobrotliwym jego intencjom, o pozwolenie dla siebie i towarzyszy zajęcia się jakąś pracą fizyczną.

Monarcha pozwolił więźniom stanu—robić pończochy i to nie tyl-

ko pozwolił, ale wyznaczył odrazu ilość mającej się wykonać tygodniowo roboty i polecił karać opornych lub leniwych.

„Rozkazy z Wiednia były stanowcze. Nie ruch, nie powietrze, nie rozgrzanie krwi, zastygającej w żyłach, lecz nowa uciążliwość nas czekała i w dodatku—upokorzenie.“

Dozorcy sami dziwili się i smucili, że muszą „szlachetnych panów“ tak podłej i babskiej uczyć roboty. Prosilili ich jednak, aby się nie opierali. Za opór groziły, według regulaminu kary cielesne, nie wykluczając chłosty. W celi Confalonieriego, jak ponury znak ostrzegawczy, były wpuszczone w mur żelazne pierścienie, do których niesfornego więźnia można było uwiązać za ręce, rozkrzyżowując go na ścianie. Jeśli krzyczał, zakładano mu knebel, t. zw. „słodką gruszkę“, napełnioną pieprzem, wpadającym przy każdym poruszeniu głową w usta męczonogo.

Kto wie, tam, w górze, szukano tylko pozorów, aby sprowokować rewoltę i opornych ostatecznie sponiewierać?

Nie godziło się narażać tych, którym okres kary miał się niebawem skończyć. Mimo protestu porwczego Pallavicina, oburzającego się na „niesłychaną tyranję“ dawnego przyjaciela, Confalonieri zalecił poddanie się rozkazowi i sam dał przykład rezygnacji. Tylko Silvio, biedny, rozżalony poeta, nie mógł nigdy nauczyć się liczyć oczek, a Andryane płakał, patrząc na piękne, smukłe, silne ręce hrabiego, niewolniczą zajęte pracą.

„Skarżą się jeszcze? — rzekł ze złośliwym uśmiechem stary cesarz—wszak to robota w sam raz dla filantropów!“

.....

W tym samym czasie Teresa ponawia swoje zabiegi w Wiedniu. Cesarzowa, pełna współczucia i podziwu dla chorej, a mimo to niestrudzonej kobiety, popiera życzliwie jej prośby, tak samo hrabia Wurmbrand.

„Niestety — pisze tenże 8 października r. 1827, — nie mogę donieść niczego pocieszającego. Jej C. Mość przedłożyła list pani cesarzowi... Chciałoby jednak ojcowskie serce monarchy, znającego stan pani, pragnęło wyświadczyć łaskę jej nieszczęśliwemu małżonkowi, to prawo i przykład, jaki winien on swoim poddanym, sprzeciwiają się temu.“

„A nieszczęściem, raporty przychodzące z miejsca pobytu hrabiego nie są zbyt korzystne, o ile chodzi

o niego. Bardzo dużo mnie kosztuje powiedzenie Pani tej prawdy, uważam jednak za swój obowiązek, ze względu na zaufanie, jakim Pani mnie darzy, nie podsycać nadziei, która, nie mogąc się spełnić, uczyniłaby Panią jeszcze nieszczęśliwszą.“

W drugim liście pisze:

„Cesarz uważa spełnienie prośby Pani za niepodobieństwo, ale każe ją upewnić, że robi się wszystko możliwe, by hrabiego, środkami łagodnymi, do uczuć religijnych nawrócić i dać mu odczuć pociechę wiary.“

Nic dziwnego, że biedna kobieta po tej „pocieszce“ rozchorowała się jeszcze gorzej. W dodatku „przyjaciółka wielkiego Wikarjusza“ (Metternicha) doniosła jej złe wiadomości o zdrowiu męża.

Po liście Wurmbranda wyznaje, że chciała już w ogień rzucić wszystkie, napisane w celu dalszych zabiegów, supliki. Ale straszna obawa, że ukochany człowiek umiera tam już może, samotny, udręczony, każe jej odrzucić wszelką dumę, wszelkie namysły. Uniży się. Skłoni się, ona, żona najwierniejsza, przed najniegodniejszą, pójdzie błagać o wstawienie Marji Ludwiki, byłej cesarzowej Francji, dziś księżnej Parmy, mimo że pamięta, z jak pogardliwą ironją patrzyli na nią oboje, gdy w r. 1816 wjeżdżała do swego państewka u boku kochanka, którego bogobojny ojciec sam jej dał w zamian za męża, syna i tron cesarski.

I on to właśnie, generał Neipperg, ochmistrz dworu księżnej, odpowiada Teresie. Odpowiada ze współczuciem. Tak, jego pani pisała do ojca, prosiła, by pozwolił biednej hrabinie przynajmniej zamieszkać w Bernie. Franciszek, znudzony już może prośbami, odrzekł, że ostatecznie może jej na to pozwolić.

„Tylko — dodał — męża widzieć nie będzie. I sobie samej niech przypisze, jeśli on, z racji jej pobytu na Morawach, będzie poddany jeszcze ostrzejszym, niż dotąd, ograniczeniom i dozorowi“...

Taki jest rezultat. Zabiegi żony — ostrzega Neipperg — pogarszają tylko los człowieka, na którego cesarz jest rozdrażniony. Najgorzej, jeśli sobie o nim przypomina!

Teresa oniemiała. Zastosowano do niej, moralnie, tę samą torturę, jaką na Spielbergu karano zbuntowanych. Dusza jej wiła się z bólu, rozpięta w męce bezsilnej; ażeby zgłuszyć „jęk ofiary, niewdzięczny zawsze uszom ciemności“, zakneblowano jej usta.

(c. d. n.).

K. Bielańska,



## PIĘCDZIESIĘCIOLECIE LONDYŃSKIEJ SZKOŁY MEDYCZNEJ DLA Kobiet.

W ostatnich dniach października odbyła się w Londynie uroczystość 50-letniego jubileuszu założenia szkoły medycznej dla kobiet. Zasłużona sekretarka tej szkoły, panna Brooks, w przemówieniu swem zawierającym sprawozdanie z pięćdziesięcioletniej działalności tej instytucji podniosła niezmiernie ważne znaczenie jej w dziejach emancypacji kobiety angielskiej.

„W chwili, gdy założoną została nasza Szkoła Medyczna — mówiła p. Brooks — nie było jeszcze w kraju naszym ani jednego wyższego zakładu dla kobiet, nie było wogóle żadnej kobiecej szkoły zawodowej. Charakterystycznym jest ten fakt, że pierwszą naszą szkołą zawodową dla kobiet była właśnie szkoła medyczna. Wbrew bowiem ogólnie rozpowszechnionemu mniemaniu (dziś, na szczęście, już przestarzałemu), że medycyna nie jest stosownym zawodem dla kobiety — historia wykazuje coś wręcz przeciwnego. Kobieta jest lekarką par excellence i była nią zawsze, w najbardziej odległych czasach. Pierwsza lekarka o której słyszeliśmy (a ileż ich mogło być jeszcze przed nią) żyła na 1200 lat przed naszą erą. Była to jedna z księżniczek Kolchidy, która zajmowała się nie tylko leczeniem chorych (zupełnie zawodowo!), ale ponadto celowała jeszcze w przyrządzeniu antidotów na różne trucizny — czyli jakbyśmy dziś powiedzieli, zajmowała się toksykologią. W 600 roku przed Chrystusem żyła niejaka Agnodice, iekarka grecka, która zdobyła sobie niezwykłą sławę jako akuszerka. Nie należy zapominać, że akuszerka była w owych czasach traktowana przez lekarzy greckich niemal z pogardą.

W pierwszych wiekach Chrześcijaństwa widziemy cztery kobiety lekarki wśród grona Świętych Kościoła. Dwie z nich były krewnymi św. Pawła Apostoła.

Otwierając więc Londyńską Szkołę Medyczną przed pięćdziesięciu laty, zasłużone jej założycielki: Doktor Elżbieta Blackwell, Dr. E. Garret-Anderson i p. Zofia Jex Blake, pierwsze pionierki na polu medycznym w Anglii, wskrzeszały tylko tradycję minionych wieków. Szkoła ta, postawiona

odrazu na poziomie uniwersyteckim, przyciągnęła moc ochotniczek i zmusiła do pewnego stopnia uniwersytet londyński do otwarcia swych podwoi dla kobiet — przed czym się dotychczas stanowczo wzbierała.

## CZY NALEŻY SIĘ KOBIECIOM RÓWNA PŁACA?

Biuro do spraw kobiecych Departamentu Pracy St. Zjedn. Ameryki wydało niedawno broszurę o pracy kobiet w przemyśle amerykańskim, w której na podstawie zgromadzonego materiału statystycznego udowadnia konieczność zrównania płac kobiet z zarobkami mężczyzn:

Przyczyną tego faktu że 8½ miliona kobiet amerykańskich, zarobkujących na swe życie pracą zawodową, nie potrafiło dotychczas uzyskać dla siebie unormowania płac w stosunku do zarobków mężczyzn, jest przede wszystkim ogólnie zakorzenione mniemanie, że kobieta powinna zarabiać mniej, niż mężczyzna, gdyż nie potrzebuje zarabiać na swe utrzymanie, a tylko na dodatki do niego. Przeciwnicy równych płac dla kobiet wytaczają jako argument, że większość kobiet pracuje tylko „na siebie“ a będąc na utrzymaniu rodziców lub męża, zarobki swe obraca jedynie na pewne przyjemności życiowe: suknie, zabawy i. t. d. Jest to jednak pogląd bardzo niesłuszny i najzupełniej przestarzały. Zgodnie z danymi statystycznymi, przeszło milion kobiet w St. Zjednoczonych pracuje ciężko dla utrzymania rodziny, czyto jako wdowy, czy jako mężatki których mężowie z powodu choroby lub kalectwa nie są w stanie zarobkować.

Co się tyczy kobiet samotnych, to i tychże sytuacja nie przedstawia się tak różowo, jak się wydaje ustawodawcom. Przede wszystkim utrzymują one bardzo często całkowicie lub też częściowo rodziców, albo młodsze rodzeństwo; ileż to razy młoda, niezamężna robotnica bierze dodatkowe zajęcia wieczorowe lub siedzi po całych nocach nad szyciem, aby zarobić na wykształcenie młodszej siostrzyczki czy braciszka!

Nie wolno nam także zapominać o jednym: mianowicie — o dodatkowej pracy do mowej kobiet. Praco dawcy nieraz narzekają na to, że kobiety, gorzej pracują od mężczyzn. Ale czyż można żądać od matki, która po ośmiu godzinach pracy w fabryce przychodzi do domu, aby tam przez drugie tyle czasu prac, gotować, szyc i niańczyć dzieci — żeby nazajutrz przyszła do zajęcia wypożęta i ze świeżymi siłami.

I tutaj musimy podkreślić, że mężczyzna zawsze, bez względu na wysokość swego zarobku, żyje o wiele mniej oszczędnie niż kobieta. Za-

den robotnik, chociażby najgorzej uposażony, nie zasiądzie po powrocie z zajęcia do igły, aby sobie wyreperować zniszczone podczas pracy ubranie — nie ugotuje sobie samobiadu, nie upierze i nie uprasuje bielizny. Wszystkie te czynności spełniać musi za niego ktoś inny — oczywiście, w tej lub innej formie płatny. Kobieta zaś, choćby najbardziej zmęczona pracą, znajdzie zawsze jeszcze czas i siły na wykonanie całego szeregu zajęć, których zadaniem jest utrzymać czystość, ład i pewną, chociażby najskromniejszą, estetykę wyglądu, a ponadto zaoszczędzić cośkolwiek z jej bardzo skromnych zarobków.

Z. B.

## SZKOŁA WYCHOWAWCZYŃ NIEMOWLĄT

W № 46 Bluszczu — w artykule wstępnym, pod tyt. „Stosunek państwa i społeczeństwa do pracy zawodowej kobiet“, omawiana jest sprawa konieczności tworzenia t. zw. „dziecińców“, czyli sal higienicznie urządzonych, w których matki, pracujące zawodowo, mogłyby pozostawiać niemowlęta pod opieką wykwalifikowanych pielęgniarek.

A więc wyłania się żywotna kwestja wykształcenia tych właśnie fachowych sił.

Jest to zagadnienie tem bardziej palące, że niestety u nas wogóle dotąd takich pracowniczek nie było. Matki, które stać było na specjalną pielęgniarkę niemowlęcia — sprowadzały ją... z zagranicy.

Wytwarzała się w ten sposób zła i niezdrowa sytuacja — gdy polskie niemowlę — od pierwszych dni swego życia, słyszało koło siebie obcą mowę. A więc, tak ze względu na szerszej pomyślaną akcję społeczną, jak i ze względu na faktycznie istniejące u nas zapotrzebowanie — stało się rzeczą niezbędną założenie u nas takiej szkoły, a właściwie szeregu szkół pielęgniarek niemowląt.

Jasnym jest — że szkoła taka spełni wówczas tylko swoje zadanie — jeżeli przygotowuje pracownice nie tylko fachowo obznajmione ze swymi obowiązkami pielęgniarskimi — ale jeżeli w ciągu ich pobytu w szkole zwróci baczną uwagę na ich charakter i wartość moralną. Bo jasnym jest, że tylko zdrowy moralnie materiał kobiecy będzie się mógł dobrze wywiązywać w przyszłości ze swych obowiązków. Z góry więc można postawić twierdzenie, — że tylko bardzo staranny i surowy dobór nowo wstępujących kandydatek — oraz usilna praca wychowawcza w okresie ich pobytu w szkole mogą wydać pożądany rezultat.



To też z wielką radością powitało społeczeństwo nasze inicjatywę założenia w Warszawie takiej właśnie szkoły wychowawczyń niemowląt.

\* \* \*

W r. 1914 zawiązała się w Warszawie Liga Młodych Matek, mająca na celu otoczenie troskliwą i umiejętną opieką niemowląt matek zmuszonych pracować zarobkowo poza domem. W roku zaś 1920 zostały otworzone kursy, których zadaniem jest przygotowanie zawodowo wykwalifikowanych wychowawczyń niemowląt.

Kursy te prowadzone są według systemu angielskiego przez specjalistki, które przestudjowały i ukończyły podobne kursy zagranicą.

Kandydatek do wymienionej „Szkoły Wychowawczyń niemowląt” zgłasza się bardzo wiele, jednak Zarząd w przyjmowaniu ich jest niezmiernie sumienny i wymagający. A więc przedewszystkiem każda kandydatka poddana jest bardzo skrupulatnemu badaniu lekarskiemu. Przyjmowane są tylko osoby zupełnie zdrowe i nie obciążone dziedzicznie.

Poza tem Zarząd zwraca baczną uwagę na usposobienie przyszłych wychowawczyń, które muszą być łagodne, cierpliwe, miłe w obejściu, lubiące dzieci, czystość i porządek.

Kurs pielęgniarek trwa trzy miesiące, jako cenzus naukowy wymagane jest ukończenie szkoły powszechnej.

W ciągu tego czasu uczennice przechodzą kurs teoretyczny i praktyczny. Uczą się więc obchodzenia się z niemowlętami w wieku od dwóch tygodni do roku, słuchając wykładów z tej dziedziny i przerabiając szereg ćwiczeń praktycznych.

Komplet składa się z 12 uczennic i tyluż niemowląt, którymi opiekują się uczennice.

Co trzy miesiące dwanaście wykwalifikowanych wychowawczyń po zdaniu egzaminów i otrzymaniu świadectwa—opuszcza kursy, a osoby zainteresowane mogą w „Szkołę wychowawczyń niemowląt” lub za łaskawym pośrednictwem p. dr. Bukowskiej, Chmielna 20 m. 1, zaangażować wychowawczynię na stałe, lub jako przychodnią na godziny.

Prócz prowadzenia powyższych kursów—w porozumieniu z Ministerstwem Oświaty, zarząd szkoły urządza wykłady teoretyczno praktyczne dla uczennic z ostatniego roku szkół powszechnych w godzinach pozaszkolnych. Wykłady te odbywają się po 6—8 godzin tygodniowo.

Prócz tego zarząd w swej trosce o dobro przyszłego pokolenia i młodych, niedoświadczonych matek z inteligencji, organizuje Kursy or-

jentacyjne. Wykłady odbywają się co drugi dzień po jednej godzinie i trwają jeden miesiąc.

Na zakończenie muszę nadmienić, że osoby interesujące się tą sprawą i chcące bliżej zapoznać się z tą tak pożyteczną, a mało znaną u nas placówką, mogą zwiedzać „Szkołę wychowawczyń niemowląt”. Należy przedtem tylko porozumieć się telefonicznie co do dnia i godziny z dr. Bukowską i zebrać grupę złożoną co najmniej z 10 osób.

Z. K.

## Z SALI ODCZYTOWEJ

„KOBIETA W ŻYCIU NARODOWEM”

(Odczyt prof. Wincentego Lutosławskiego).

Obok słów prawdziwej mądrości, — paradoksy, — oto materiał, z którego wysnuł prof. Lutosławski tkanę swego odczytu.

Zgodnie z mistycznymi poglądami prelegenta, każdy, żyjący dziś na ziemi człowiek był już wiele razy mężczyzną i kobietą i pierwiastki tej dwoistej natury ma w sobie. Wpływa stąd wniosek, że kobieta obecna nie powinna się maskulinizować, że walka o równouprawnienie polityczne i społeczne kobiet jest rzeczą bez znaczenia, zgoła niepotrzebną, bo „kobieta i bez tego dostałaby te prawa.” Prawa te należą jej się, jako istotcie biologicznie i duchowo wyższej od mężczyzny. Wykonywując je jednak, nie spełnia ona właściwego swego zadania, ani nawet nie wpływa na zmianę układu politycznego w danym kraju. „Prawdziwa” kobieta nie powinna też współzawodniczyć z mężczyzną na polach pracy zarobkowej. Nie powinna pchać się do biur, uczęszczać na uniwersytety. „Na prawdziwą kobietę — mówi prof. Lutosławski — prawdziwy mężczyzna zawsze zarobić potrafi.”

Cóż więc jest tem właściwym zadaniem kobiety? Cóż jest tem „najważniejszym,” o co chodzi prelegentowi?

Odrodzenie i udoskonalenie rasy.

I znów trzeba sięgnąć do mistyki.

Duchy, pragnące wcielenia, powodują związki małżeńskie, dobierają sobie stadła, rodziny, w których pragną żyć i rozwijać się.

Ażeby duchy wyższe mogły wcielić się, trzeba nadzwyczajnej czystości pożycia małżeńskiego, ale przedewszystkiem potrzebna jest czystość kobiety. „Od wiary i modlitwy matki zależy gatunek potomstwa.”

Ojciec może być niemoralny — byleby matka „modliła się i błagała Boga o przebaczenie za jego grzechy.”

Trzeba przyznać, że jest to niezmiernie wygodna teoria dla... niemoralnych ojców,

Ale idźmy dalej za myślą prelegenta.

Otóż, od Polek, od tych „prawdziwych kobiet” zależy przyszłość naszego narodu. One sięgnąć mogą te duchy wyższe, genjusze i świętych, one doprowadzić do syntezy genjuszu i świętości, które dotychczas w dzie-

jach objawiają się zazwyczaj oddzielnie. Stąd tytuł odczytu: „Kobieta w życiu narodowem.” Naród nasz, dzięki kobiecie—matce stać się może najpierwszym z narodów.

Kobieta — twierdzi prof. Lutosławski — jest wyższą biologicznie. Narządy jej wystarczają do wydawania potomstwa. Udział mężczyzny w akcie zapłodnienia jest właściwie „tymczasowy.” Na wyższym szczeblu rozwoju stać się może zbędnym. Do twierdzenia takiego upoważniają zjawiska biologiczne, obserwowane np. w świecie owadów, gdzie zapłodnienie odbywa się normalnie przy udziale dwu płci, w wyjątkowych wypadkach jednak wystarcza płeć żeńska.

Prof. Lutosławski uznaje nie tylko biologiczną wyższość kobiety, ale i duchową.

Kobieta jest mistrzynią mistycznego życia. Mistycznemu lotowi św. Teresy lub św. Katarzyny z Sienny nie dorówna dusza żadnego mężczyzny. Wogóle przed kobietą leży szersze pole możliwości, niż przed mężczyzną. Jej lot jest wyższy, a jej upadek może i musi być głębszy, straszniejszy.

I tu pozwala sobie p. Lutosławski na następujące twierdzenie.

Rozpusta płciowa — mówi on — poniża kobietę; nie pozostawia prawie śladu na duszy mężczyzny. I dalej: „dla tego słuszną jest ta pogarda, jaką okazuje się prostytutkom. Kto wiele otrzymał, od tego wiele wymagać mamy prawo.”

Dziwnie boleśnie odbiły się słowa powyższe w sercach niektórych, sprawę tę rozumiejących, kobiet. Czyż istotnie tak wiele dano tej bosonogiej sierocie, którą źli opiekunowie lub krewni wysyłają nieraz sami na ulicę. Czy ona istotnie zasługuje na potępienie ta głodna, ciemna, bezbronna?... Prof. Lutosławski zapomniał zapewne, że był Ktoś, co powiedział o niej: „Kto z was jest bez grzechu niechaj pierwszy rzuci na nią kamieniem!!!..”

C.

## Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Dnia 10 listopada odbył się w Warszawie pogrzeb ś. p. Heleny Rykowskiej. Złożono do grobu jedną z tych cichych, pełnych poświęcenia kobiet, które niezmiernie pracowicie niosły ulgę cierpiącym w okresie wielkiej wojny światowej.

Skazana na przymusową tułaczkę w roku 1915, rozpoczęła ś. p. Helena Rykowska pracować gorliwie jako siostra Czerwonego Krzyża w Mińsku, przyczyniając się do powstania szpitala dziecięcego, gdzie przez dwa lata przeszło była jednym z jego filarów, niosąc pomoc chorym dzieciom polskim. Następnie, po powrocie do ojczyzny, w r. 1920 wstępuje znów do szpitala polowego przy II Dywizji Jazdy i przez cały czas trwania kampanji, zakończonej naszym zwycięstwem, trwa na stanowisku, nie szczczędając zdrowia i sił.

Nie dla sławy, nie dla odznak i zaszczytów, ale z poczucia obowiązku, z głębokiej miłości bliźniego pracowała w ukryciu, jako jedna z szeregu tych bezimiennych, którym tak wiele zawdzięcza odrodzona Ojczyzna nasza. Każdy jednak, kto poznał pracę ofiarną i zapał, jaki zmarła wkładała w tę pracę, ma dla niej podziw głęboki i kult.

Ś. p. Helena Rykowska była jedną z gorliwych czytelniczek „Bluszczu,” którego rozwój interesował ją zawsze. Zaznaczamy ten szczegół, wiedząc, iż niejedną z Czytelniczek naszych westchnie serdecznie do Boga za Tę, która odeszła przedwcześnie, okrywając żałobą serca najbliższych z rodziny i wszystkich tych, którzy jej zawdzięczają zdrowie, a nieraz — życie.

Cześć Jej pamięci.





## Z TEATRÓW

### TEATR NARODOWY.

„Don Juan” — Dramat fantastyczny w 7 odsłonach J. Zorilli. Przekład St. Miłaszewskiego. Reżyserja E. Chaberskiego. Dekoracje W. Drabika.

W № 44 „Bluszczu” drukowaliśmy akt drugi części drugiej wielkiego i popularnego w Hiszpanji dramatu José Zorilli.

Dziś dramat ten święci triumfy na deskach teatru Narodowego.

Wielki romantyk Hiszpański, ukochany przez cały naród poeta, zespalaający w swej twórczości żywioły poezji starohiszpańskiej z nowoczesnymi, — wyrósł z gruntu ojczyste go i jest z nim związany tysiącami niemi.

Wykołysały jego talent legendy jego ojczyzny — wykarmiła go poezja Calderona, to też z utworów jego bije żar słońca Hiszpanji i pulsuje w nich żywa i gorąca krew jego narodu.

Jednak „Don Juan” jest związany nie tylko z ziemią na której wyrósł — stoi on cały skąpany w świetle swojej epoki tak, że każdy nerw tego dramatu przesiąknięty jest tchnieniem romantyzmu, który jak wicher, szedł wówczas potężną falą przez całą Europę. I ten właśnie romantyzm Zorilli sprawia — że, choć zredzony pod obcem niebem, jest dla nas Don Juan bliski — bo wiąza go bardzo mocne węzły pokrewieństwa z naszą wielką poezją romantyczną.

W drugiej części dramatu, gdy zjawia się cień Inezy — który jak anioł biały czuwa nad Don Juanem, gdy miłość jej, co przetrwała próbę grobu staje się jego puklerzem — broniącym przed potęgą mocy szatańskiej, gdy w jej słowach pełnych nadziejskiej słodyczy i ciszy dźwięczy nuta miłości ponad śmierć silniejszej — to o serce polskiego słuchacza uderza fala wspomnień o innej miłości, której dzieje wyśpiewała polska poezja romantyczna: o miłości Kornelli do Iridjona.

Cicha dziewczeczka hiszpańska obroni przed potępieniem wiecznym duszę Don Juana, którą pochwyliła kamienna dłoń Komandora, tak jak w odwiecznej Romie Kornella wybawiła z rąk Massynisy Irydjona „kiedy to do zorzy było blisko, kiedy miesiąc zapadł poniżej amfiteatru, kiedy cała arena świetniała połyskami, ... kiedy zaczął się spór ostatni, wyroczny, wokoło poświęconej głowy” syna Amfilocha Greka.

I nie tylko to jedno.

W wielkiej rodzinie romantycznego natchnienia, jakże blisko stoi księżycowa postać Inezy z drugą, romantyczną miłością — miłością Gustawa.

Don Juan — tak jak Gustaw z IV części Dziadów, może powiedzieć o sobie: „Naszcześnie Bóg mię zrobił poddanym anioła, — bo w godzinę śmierci „śladem lubego anioła... cień mój błędny wkradnie się do nieba”.

\* \* \*

Przedstawienie Don Juana w Teatrze Narodowym jest nie tylko świętem poezji Hiszpańskiej — wspaniały przekład St. Miłaszewskiego wprowadza utwór ten do przybytku poezji polskiej. Całe bogactwo polskiego języka, który zaiste „lśni jak mozaika” i cała śpiewność rymu zadźwięczała w jego przekładzie najszlachetniejszą i dostojną nutą. Wielka

skala tonów od słów pełnych zapalczywe, i butnej niepowściągliwości — aż po miękką, dźwięk pieśni kochania — które już nie jest z tego świata — została wydobyta przez tłumacza.

W głębokiej interpretacji Węgrzyna brzmiał ten ton wielkiej poezji nutą czystą i szlachetną, niezmęconą żadnym fałszem. I tylko drewniane recytowanie wierszy przez p. Majdrowiczównę mordowało w bezsensowny sposób niezwykle czar cudnego erotyku — jakim jest list Don Juana do Inezy. Ten list może być w ustach artystki z bożej łaski tem, czem jest monolog Infantki z Cyda — w ustach Solskiej. Obok doskonałych postaci Komandora (Żelazowski), Don Diega (Kotarbiński) i Don Luisa (Roland) poważnym dysonansem była gra p. Ordon-Sosnowskiej, która zrobiła nam prawdziwą niespodziankę i swoją charakterystyczną w stylu rosyjskiej „siestryczki” i swoją grą rozrzuconą, płytką i bardzo „mieszcząnską.” Dramatowi Zorilli wspaniałą oprawę dał W. Drabik, który szczególnie w scenie klasztornej wydobyl środkami nadwyraz prostymi efekty niezwyklej piękności.

Reżyserja p. Chabenskiego mocna i konsekwentna osiągnęła najwyższy sukces w scenie zjawienia się ducha Komandora. p-a.

## LIST Z PARYŻA

Dżdżysto, deszcz pada od dni piętnast; deszcz drobny, monotony, przenikliwy. Na ulicach brudno i ponuro, bruk śliski i lepki, niebo ciężkie, zachmurzone.

Jakkolwiek cała ta dżdżysta atmosfera wcale nie zachęca do wyjścia, trzeba się pogodzić z koniecznością, gdyż idylliczne czasy wyręczania się służbą, oddawna już przeszły, — a tyle zaległych, niecierpiących zwłoki spraw — na mieście, tyle zakupów niezbędnych.

Najbardziej nawet z pośród nas dbające o pozory, tracą nadzieję, myśląc o tem, co tu włożyć, jak się ubrać na taką pogodę. Elegancji nie zawsze staje się zadość,

Najchętniej paryżanka ukazuje się podczas deszczu w klasycznym, skórzanem palcie, półbutkach z box-calpu, nadto kapelusik, worek, rękawiczki — wszystko ze skóry.

W ubiegłym sezonie strój ten byłby napewno ostatnim wyrazem szyku, ale obecnie zaczyna nas nieco nużyć właśnie dlatego, że wskutek niewyszukanej formy swojej zbywa mu zupełnie na fantazji. To też nie brak młodych kobiet, które potrafią doskonale zabezpieczyć się od deszczu w stroju bez porównania zalotniejszym.

Nieocenione usługi w tym celu oddaje płaszcz „imperméable” w kraty albo w pasy, podbity jednolitą podszewką. Formą przypomina męski krój i jest sam przez się bardzo elegancki. Klasyczny, mały filcowy kapelusik, obszyty jest skórą w tym samym tonie, co worek i obuwie. Niezbędny podczas deszczu parasol, jest tak pełną fantazji częścią toalety, że zasługuje na szczególną uwagę. Bardzo krótki, gruby, parasol obecny nadaje się do wszelkich inowacji i może dojść do najbardziej wyrafinowanego przepychu. Szanująca się paryżanka posiada ich kilka, oczywiście starannie dobranych do swoich toalet.

Bezpownotnie poszły w zapomnienie niewinne rączki z drzewa, ze stali oksydowanej, albo ze srebra; przepadły bezpowrotnie poważne parasole z gładkiego, czarnego jedwabiu, przybrane pasmanterją. Dziś widzimy parasole o rączkach ze słoniowej kości, z „jade,” bursztynu i szyldkretu zakończono dużemi galkami, stożkami etc., którym odpowiada wykończenie ogólne parasola. Bogactwo, różnobarwność tych drogocennych ozdób, zapewnia miły efekt i elegancję dzisiejszych parasoli. Tafta na parasole bywa w kolorach: kasztanowym „tête de nègre,” zielonym, granatowym, ze szkockim, albo innym brzegiem. Jako dodatek do nich służą duże koła z pasmanterji w tonie parasola.

Otwarte są te parasole małe i płaskie i przypominają formą japońskie parasolki. Będąc zupełnie wystarczającą ochroną przed deszczem, są w noszeniu bardzo wygodne i dlatego właśnie z taką łatwością zdobyły sobie u Paryżanki prawo obywatelstwa.

Ponieważ mowa o parasolach, pozwolę sobie jeszcze umieścić słów kilka, dotyczących innych akcesoriów niewieściej toalety: rękawiczek, obuwia, worków i fularów, t. j. szalików.

Radziłabym przedewszystkiem — Szanowne Czytelniczki, dobrać jedno do drugiego w ten sposób, żeby utrzymać w całości jednolitość tonu, która po wszystkie czasy była cechą wykwinnego gustu.

Więc pantofle i rękawiczki Twoje, piękna Pani, będą z jednakowej skóry, „box-calpu” czy też „chevreau” względnie do okoliczności; będą w 2 tonach, kasztanowym i „beige” albo zielonym i szarym — wszystko wykończone z finezją. Rękawiczki ze sztylpami marszczonemi, w dziurki, ząbki i t. p. krótsze, niż zeszłego roku i lżejsze. Pantofle o obcasach niskich i prostych, mają coś ze sportowej elegancji, która musi się podobać.

Olbrzymi wreszcie worek w formie portfela lub walizy, robi się z box-calpu, z lakiery, z antylopy, jaszczurki, lub zamszu. Duży monogram ze srebra lub złota, tworzy całe jego przybranie i składa się z trzech lub czterech liter, umieszczonych na tylnej stronie worka. Co do kolorów, to widzimy ich dużo w czerwonym, ceglasmym, brązowym, czarnym i zielonym.

Fulary, które wciąż nosi się pod futro, są obecnie mniej fantazyjne. Z gładkiego, — grubego crêpe de chine'u, mają, jako całe przybranie w dole, w rogu, inicjał pięknej właścicielki. Fular w kolorze powinien odpowiadać sukni albo jej przybranu.

Należałoby powiedzieć jeszcze coś ciekawego o kapeluszach, ale odkładam ten temat do jednej z przyszłych korespondencji. Natomiast pozwolę sobie zaznaczyć ważność biżuterji na tle całej toalety niewieściej.

Niewatpliwie, istnieją i będą zawsze istniały prawdziwe klejnoty, brylanty, perły w pięknych oprawach, których nie należy zmieniać, ani modernizować, ale nawet i na tem polu Moda, bogini fantazji, narzuca nam swoje prawa.

A więc pomyśl, piękna Czytelniczko, jak egzotycznie na rękę twoim wyglądać będzie pierścień, albo bransoleta z „poil d'éléphant” ozdobiona dwoma rzędami brylantów, — albo dla odmiany wysoko na szyi, sznur stalowych wielkich pereł, a w uszach także kolczyki! — Pantofle, możesz, z powodzeniem upiękścić klamrą ze szmaragdów i czarnej emalii, a kapelusz Twój tylko zyska na urodzie z baretką z prawdziwych pereł lub z „jade'u.”

Wyobrażam sobie, jak bardzo pragniesz posiadać nadto maleńki klejnot — przedmiot twych marzeń, wybryk przerafinowania i zbytku. Ten skarb, ten „szczyt mody,” to płaska bransoleta, złożona z rzędu kwadratowych szmaragdów wprawionych między dwa rzędy brylantów, białych, przezystych. Wielki szmaragd i brylant soliter, zawieszony na cieniutkim platynowym łańcuszku rzucają oślepiające ognie... Taki klejnot zaćmiewa i usuwa wszelkie broszki, pierścienie i kolje.

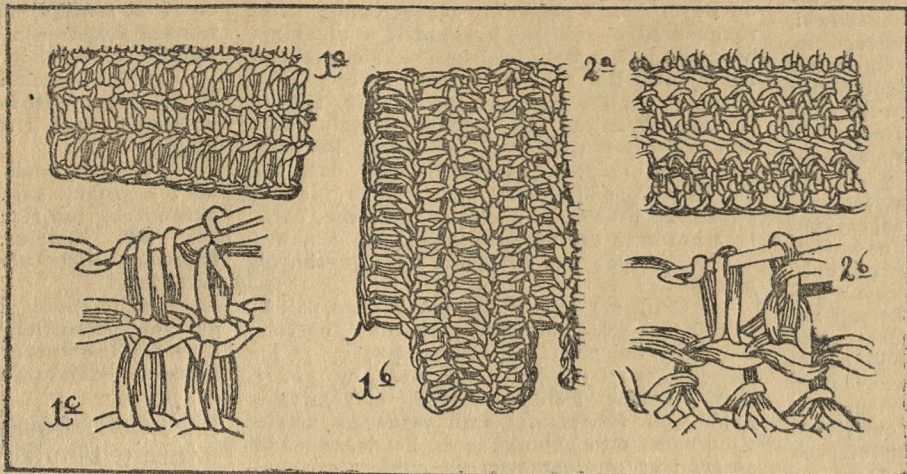
Warto i należy ofiarować go wybrance swojej, — pani serca, która w zamian za to, obdarzy promiennym uśmiechem... wdzięczności. Sekwa.

## SPROSTOWANIE

W № 47 „Bluszczu” w artykule „Nasza samorządna propandanda zagranicą” wkradł się błąd. W ostatniej szpalcie został opuszczony cały wiersz w rękopisie.

Powinno być: „dzięki poparciu Minist. Oświaty w osobie pani Marji Zaborowskiej i miejskiego Wydz. Oświaty i Kultury w osobie pani M. Bratkowskiej udało się zgromadzić znaczną liczbę eksponatów.”

# JAK UBRAĆ DZIECI W ZIMIE

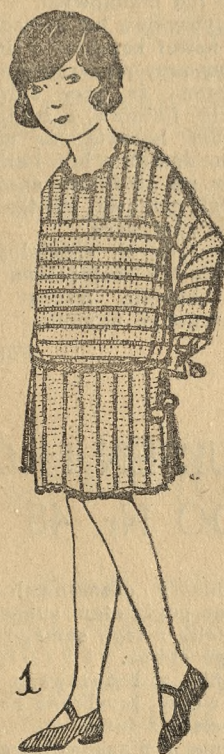


Jak ubrać dzieci w zimie? Oto pytanie zaprzatające każdą matkę, liczącą się z kosztem i estetycznym wyglądem dziecka. Gdy porównamy praktyczność w noszeniu i cenę materiałów, a zwłaszcza owych najbardziej używanych na sukienki flaneletek, brzydkich i łatwo brudzących się po pierwszym praniu, dojdziemy do wniosku, że ładne i naprawdę tanie są tylko sukienki włóczkowe.

Przy dzisiejszej modzie przeróżnych wełnianych ubrań dla dzieci i dla dorosłych, mamy w handlu wełny w rozmaitych ślicznych barwach. Na sukienkę dla dziewczynki czteroletniej, dużego wzrostu, potrzeba najwyżej trzy kłębki włóczki „Zephyr.“ Kupiona w najdroższym nawet sklepie detalicznym kosztować będzie 4 zł. 80 gr., co stanowi koszt minimalny w porównaniu z innymi materiałami. A robota, to tylko przyjemność i miły odpoczynek dla myśli, przytem, nawet dla osób nie mających pojęcia o krawiectwie, nie przedstawia żadnych trudności.

Pragnąc dopomóc moim Czytelniczkom nabytem doświadczeniem dziele się z niemi sposobem wykonania tego na pozór trudnego dzieła.

Trzeba wykroić z papieru formę sukienki, lub ubranka, na miarę dziecka; można ją przekroić z dawnej sukienki, lub obstałować w administracji „Bluszczu,” podług wybranego modelu. Podług tej formy robi się grubym szydełkiem części sukienki, lub ubranka, które następnie trzeba pozesywać igłą na okrętke tą samą wełną. Dowolnie dobierać należy kolory i ścięgi. Kto nie lubi sukienek w jednym tonie łączyć może dwa, lub kilka nawet, ładnie dobranych kolorów i robić je w pasy, paski, albo ze szlakami. Najpraktyczniejszym ścięgiem są półsłupki, mocno zahaczone za dwa oczka (rys. 1c), nie rozciąga się, jest ciepły, a nie nabity. Można go zastosować w dwóch kierunkach: góra sukienki



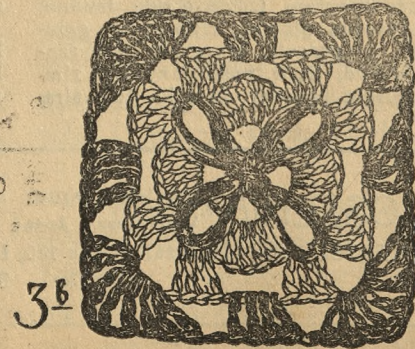
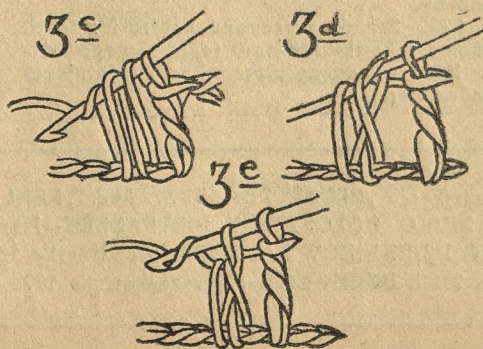
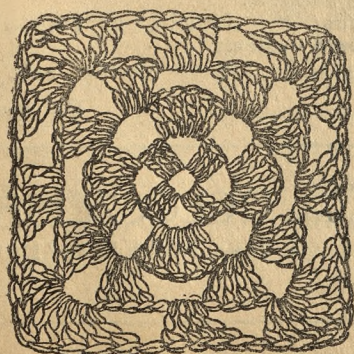
wszerej (rys. 1a), dół wzdłuż (rys. 1b), wtedy rękawki muszą być wszywane, lub kimonowa góra i falbana wzdłuż, a staniczek wszerej, jak na rys. 1. Zrobione wyglądają bardzo miłutko i dadzą się łatwo wykończyć ząbkami. W trzy, a najdalej cztery wieczory sukienka taka powinna być gotowa.

W ten sam sposób robi się żakiecik, wykończony u szyi i u rękawków futerkiem, które w domu zapobiegliwym, gdzie się skrzętnie chowa wszelkie resztki, łatwo się znajduje. Czapeczka, w formie głowy cukru, objęta od twarzy takim samym futerkiem jak żakiecik, a ostry jej koniec przypięty z boku dużym pomponem, różnokolorowymi kwiatkami z włóczki, lub kokardą z odpowiedniej wstążki, śliczną stanowią całość.

Dla małych chłopczyków w ten sam sposób robi się ubranka (rys. 2), jednak ściąg na nie powinien być gęściejszy (rys. 2a i 2b).

Do prania tych rzeczy należy rozgotować barskiego mydła i w zaledwie ciepłym, dobrze rozbitem, nie trzeć, a wyciskać przedmiot, do prania przeznaczony, często zmieniając mydliny. Skoro będą już czyste, nie wyciskając, roztrzepać i rozciągnąć odpowiednio na czystym prześcieradle uprany przedmiot i tak pozostawić aż do wyschnięcia.

Oryginalnie i efektownie wygląda też sukienka, w której robota szydełkowa połączona jest z materiałem (rys. 3). Podstawą, jak to widzimy na rysunku, jest karczek złożony z kwadracików zrobionych szydełkiem (rys. 3a). Sukienka może być jedwabna, z lekkiej materijki, a karczek ze sztucznego jedwabiu, lub tasiemeczki, albo z wełnianego materiału, a kwadraciki z włóczki Kwadracik zaczyna się łańcuszkiem z 6 oczek zamkniętym w kółko. Następnie 3 oczka i 3 słupki, które się wbija w kółko, 2 wolne i znów 3 słupki, 2 wolne i znów 3 słupki i tak w kółko, aż się sformuje kwadracik dowolnej wielkości (rys. 3c, 3d i 3e). Obrobić go można jedwabiem, lub innym kolorem włóczki, a na zakończenie igłą od kanwy wyszyć rozetkę (rys. 3b). Kwadraciki, oczko w oczko, połączyć szydełkiem, lub igłą, tworząc karczek, do którego przyszywa się zmarszczoną spódnice.



## Wskazówki praktyczne

### ZIMNA KOLACJA.

Jedną z Czytelniczek „Bluszczu” zwróciła się zapytaniem, jak ma urządzić przyjęcie, skoro nie chce lub nie może dać gorącej kolacji, przyczem prosiła o wskazówki, w jaki sposób ma przyrządzić poszczególne, trudniejsze do wykonania, dania. Ogromnie trudno jest odpowiedzieć na tak ogólnikowo postawione pytanie. Należy wiedzieć ile osób ma być na przyjęciu, należy wiedzieć, gdzie mieszka gościnną gospodyni, — aby się zorientować, co w danej okolicy dostać można, przyczem nieraz rzeczy w jednych stronach uważane za eleganckie, naprzykład ryby, — w innych, wskutek ich nadmiaru i zbyt częstego spożycia są uważane za danie pospolite, nie nadające się do przyjęcia. Dobrze też byłoby wiedzieć czy do kolacji będzie podawany jaki alkohol, np. wódka, coby pociągało za sobą konieczność jakiejś ostrej przekąski; — piwo, do którego zawsze parę gatunków sera jest mile widzianym dodatkiem; likier, który jest nie do pomysłenia bez czarnej kawy; wino co w dzisiejszych czasach pozwalałoby myśleć, że przyjęcie ma być bardzo wystawne. Nie mam też najłżejszego pojęcia jakimi funduszami rozporządza moja korespondentka, bo przecież jakość i ilość dań zależy bezpośrednio od sumy na nie wydanej, — ile powiedziała, — gdyż jakość zależy li tylko od umiejętnego i starannego przyrządzenia, i najskromniejsze potrawy odpowiednio przyrządzone i podane mogą wybornie smakować.

Po zrobieniu, aż tylu zastrzeżeń mogą tylko podać dwa jadłospisy z małymi wskazówkami, tyżącemi ich wykonania.

Pierwszy będzie bardzo skromny, — co nie powinno przesądzać o jego smakowitości, gdyż to już tylko od gospodyni zależy, — drugi nieco wykwintniejszy.

Zatem, zaczynam, od tego skromnego.

Przypuszczam, że gości jest osób 10—12, i że ma być przy kolacji wódka. Wódek należy zawsze podawać parę gatunków, aby zadowolnił gusty wszystkich biesiadników. Więc jedną czystą: alembik, żytniówkę czy inną, lecz niczem nie zaprawianą, drugą z jakimś aromatem, jakąś zaprawą, np. żubrówkę, pomarańczową, gorzką i t. p. — trzecią słodzoną naprzykład: kminkówkę, wiśniówkę, śliwiankę i inne. Trzy gatunki stanowczo wystarczą.

Na przekąskę śledzie w majonezowym sosie lub jakaś ryba wędzona, jakaś sałatka jarzynowa, przyczem mieszanię jarzyn można urozmaicać do nieskończoności, byle były zaprawione dobrą oliwą i niezbyt ostrym octem, jakieś grzybki marynowane, jeśli są w domu, półmisek szynki, polędwicy lub dobrej wędzonej kiełbasy, do tego chleb pszenny i żytyni jaknajcieńiej krajany i świeże masło. Ser, u nas nieraz do przekąsek podawany, do nich nie należy, stanowi on część deseru i podawać się powinien przy końcu obiadu lub kolacji, razem z owocami. Jako pierwsze danie można podać galaretkę z ryby, — o ile okolica jest rybną i o nie nie trudno. może to być też szczupak nadziewany, lub jaka duża ryba w całku. Do każdego z tych dań można podać sos tatarski, provençal, musztardowy, lub też chrzan z octem. Gdzie o rybę trudno, tam podać można główkę cielęcą w galarecie, nóżki wieprzowe starannie przyrządzone w galarecie, ozór peklowany na zimno z garniturem zimnej fasolki lub zim-

nego groszku, przytem takie same sosy jak przy rybach. Na drugie danie może być pieczeń cielęca, rozbeł lub schab wieprzowy, upieczony i ostudzony przynajmniej na godzin kilka przed podaniem.

Rozbeł należy piec na kości, aby był soczysty. Przy cielęcinie należy sosik, uformowany przy pieczeniu rozprowadzić rosółem do ilości dwóch szklanek, włożyć cztery listki rozpuszczonej żelatyny i zastudzić w płaskim naczyniu. Galaretką tą ubiera się pieczeń nakrajaną. Do schabu można zrobić taką samą galaretkę, należy tylko z sosu zebrać tłuszcz zbyt czysty. Do każdego z tych mięs można podać sałatę z czerwonej kapusty, ćwikłę z chrzanem, ogórki kiszzone, lub też do rozbełu pickle ostre, a do mięs białych śliwki lub gruszki w occie marynowane, sałatę z borówek czy żórawin smażoną, a nawet każdy kompot ze świeżych lub suszonych owoców.

O ile się podaje do kolacji piwo, należy je nalać w szklanki przy pieczeniu i natychmiast po niej podać dwa gatunki sera: jeden łagodny, drugi ostry, lub też na tacy podać chleb czarny cienko krajany, maselniczkę z kulkami lub plasterkami świeżego masła i też same dwa gatunki sera. Za deser może służyć jaki tort domowy czy cukierniczy, należy uważać, aby nie był suchy, tylko jakiś kremowy lub przekładany obficie konfiturami.

Można też podać babkę rumową z sosem morelowym lub malinowym, — każdą galaretkę zimną, cytrynową lub owocową, blanchmanger, mus a nawet kompot, o ile ten już nie był podawany przy pieczeniu.

Przypuszczam, że przy skromnej kolacji, nie będzie likierów, a zatem zamiast kawy należy podać herbatę, do niej cytrynę i jakieś ciastka domowe lub herbatniki cukiernicze. O ile po słodkim daniu byłyby podane owoce 'ub cukierki, ciastka do herbaty będą zupełnie zbędne.

Nie dając żadnych specjalnych przepisów, widzę, że się tak rozpisalam, iż druga, wykwinniejsza kolację jestem zmuszona odłożyć do następnego numeru.

Pani Elżbieta.

## OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 48

667. Suknia z granatowej gabardiny, przybrana ciemno-popielatym sukniem i granatową taśmą. Szalik z tego samego materiału lub z popielatego sukna.

668. Suknia z brązowego aksamitu, lub fantazyjnej wełny, przybrana haftem i wykończona obszyciem z futra.

669. Suknia z piaskowej wełny, przybrana plisami z ciemniejszego materiału, układanego w drobne fałdki. Kamizelka i kołnierz z sukna koloru ivoir.

670. Suknia z lekkiej wełny koloru fenille morte. Kołnierz i bufy z deseniowej krepowanej trykotyny, lub z crepe marocain, w odpowiednich kolorach.

671. Suknia w kratę. Kołnierz, mankiety i pasek z gładkiego sukna.

672. Suknia z miękkiej wełny, przybrana haftem. Kołnierz z podwójnie złożonej organdy.

673. Suknia z kreponu koloru fox-trott. Falbana i rękawki z ninon tego samego koloru. Haft, wykonany złotą nitką i jaśniejszymi jedwabiami.

674. Przód i tył sukni z granatowej wełny. Przybranie z białego sukna, haftowanego granatowym.

675. Palto z angielskiego materiału z futrzonym kołnierzem i mankietami.

676. Suknia z gładkiego sukna i materiału w kratę w odpowiednich kolorach.

677. Paltocik dla chłopczyka od lat 5 do 7 z zamszu, lub materiału, imitującego zamsz. Przybranie z kwiatków wycinanych ze świecącej skórki w dwóch kolorach.

678. Sukienka dla dziewczynki od lat 10 do 13 z brązowego sukienka. Kamizelka, kołnierz, pasek i mankiety koloru piaskowego.

679. Paltocik dla chłopczyka od lat 5 do 7 z grubej angielskiej wełny, przybrany aksamitem, lub futerkiem.

680. Kapelusz z czarnego, lub granatowego filcu, ułożonego z tyłu w formie skrzydeł.

681. Wzór na poduszkę, motywy ze skrzyni łowickiej, haft kolorowy. Figury o prostym konturze wykonać można atłaskiem, figury o konturze w ząbki, ścięciem dzierganym.

**UWAGA:** Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien, podanych w dodatku mód, nabywać można w Administracji „Bluszczu”.

Przy zamawianiu form należy wymienić wielkość (I. II. III, lub IV), podług której forma ma być przykrojona.

## Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada.)

### Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Pani J. K. Do rąk radzimy Pâte de Prelats. Jest to wprost idealny środek. Wcierać troszkę Pâte de Prelats po umyciu w wilgotne jeszcze ręce, a będą akksamitnie gładkie i delikatne. Można to robić i w dzień, gdyż Pâte de Prelats wciera się zupełnie do sucha.

Pani Julji. Myć głowę radzę na sucho pudrem Florentin. Jest to doskonały i niekłopotliwy sposób. Łupież i wypadanie włosów powstrzyma Pani, używając Tetral P. K. W. Do mycia twarzy bezwzględnie nie można używać twardej wody. Zmiękczać ją proszkiem La Mollette, którego dodawać 1 łyżeczkę na 1 1/2 — 2 litry przygotowanej wody. Następnie unikać mycia twarzy mydłem, a myć Otrabkami Abaridowemi i codziennie wcierać troszkę Kremu Abaridowego i przypudrowywać pudrem Abarid. Jeżeli Pani chce odświeżyć twarz wśród dnia, to wytrzeć twarz watą, zmoczoną w płynnym Goldcremie Abaridowym. Już po kilku dniach, zaczerwienienie i łuszczenie się skóry, ustąpi. Po dłuższym użyciu tych środków, twarz nabiera wyglądu świeżego i młodzieńczego, gdyż krem Abarid odżywia tkankę, wskutek czego zapobiega tworzeniu się zmarszczek i wygładza wszelkie nierówności skóry.

Mm. Ercedès.

### PORADY KOSMETYCZNE.

Z. K. Proszek alkaliczny „Sveno.” Myć twarz w ciepłej wodzie, nacierając tym proszkiem niezbyt mocno. Po wyschnięciu twarz zwilżyć „Alborolem.”

Stefanji M. „Petunja” od piegów oraz krem Salome wysłamy.

Porucz. Z. Łupież usunie ang. płyn „Bisare.”

Dr. Roemer

**OGŁOSZENIA** przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU.” Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA,” **OGŁOSZENIA**  
Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115.  
L. i E. MENTZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—Senatorska 12. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”  
Długa 9 i I. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.